Liliana Baczewska-Lampert. Wspomnienie o byłej profesor, potem przyjaciółce



Lilian Lampert, Happy Hour, rysunek, fot. arch. artystki

Colin Gillies *(Toronto)*

Nie sądziłem, że zasługuję na miejsce we wspomnieniu o Lilian, ale chętnie podzielę się swoimi przemyśleniami. Odnosząc się do serwowanego przez nią jedzenia, myślę, że każdy z jej przyjaciół dostał od niej co najmniej jeden przepis. Odręcznie, pięknym, kaligraficznym pismem zapisywała każdą swoją wykwintną recepturę, co jest przykładem troski i miłości jaką wkładała we wszystko co robiła oraz życzliwości, jaką okazywała innym.

Lilian była wyjątkowym pedagogiem w Sheridan College w

Toronto. Cechowały ją wysokie standardy. Wielu uczniów było przez nią onieśmielonych – przynajmniej na początku. Przygniatała ich jej szczera krytyka, ale dzięki temu bardziej poświęcali się swoim pracom. Tak samo było ze mną, Lilian była niezwykle krytyczna wobec moich projektów. Jednak szybko zorientowałem się, że ona jest po prostu profesjonalistką. Nigdy nie była niesprawiedliwa, chociaż niektórzy uczniowie nie przepadali za jej metodami. W College'u wielu instruktorów rozpieszczało swoich uczniów, prosili ich, aby ukończyli swoje projekty i wystawiali im dobre oceny. Ale dla Lilian, taki stosunek do uczniów, to za niska poprzeczka.

Pamiętam, że kiedyś Lilian krytycznie komentowała i oceaniała prace swojej utalentowanej uczennicy. Bardzo ją to przygnębiało. W końcu zebrała się na odwagę i podeszła do Lilian na osobności, a Lilian powiedziała – *nareszcie do mnie przyszłaś, najwyższa pora*. Lilian oczekiwała, by każdy się bronił i dyskutował na temat swojej pracy, miała bardzo wysokie oczekiwania w stosunku do swoich najlepszych uczniów i rzucała im wyzwania, aby zrozumieli samych siebie. Nie wystarczyło wyprodukowanie ładnego dzieła. Nasza profesor żądała rygorystycznego zbadania zadania i nalegała, abyśmy wzięli pod uwagę nie tylko wygląd dzieła, ale też umieli wyjaśnić jego koncepcję. Lilian zachęcała nas do eksperymentowania i wykorzystywania wyobraźni, ale chciała też, aby odpowiedź miała racjonalne podstawy.



Lilian Lampert, One on One, rysunek, fot. arch. artystki

Dla nas, studentów, którzy naprawdę ją kochaliśmy i docenialiśmy za szczerość oraz precyzję oka i umysłu – Lilian, była prawdziwym darem. Jeśli ktoś w późniejszym życiu ma okazję uczyć lub oceniać pracę innych, często przywołuje przykład najlepszych instruktorów lub mentorów, jakich miał. Przez całą swoją karierę zawodową starałem się naśladować przemyślaną i wyważoną krytykę Lilian. Podobnie jak ona, staram się wydobyć to, co najlepsze od moich studentów lub projektantów, będąc szczerym, wspierającym i przejrzystym w

swojej ocenie. Nie mogę wymyślić większego komplementu niż uznanie, że pomogła ukształtować profesjonalistów. Edukacja Lilian w Polsce i prace, które tam stworzyła, stawiały ją ponad niemal wszystkimi kolegami z Sheridan College. Te umiejętności nie miałyby znaczenia, gdyby nie były połączone z jej intelektem i inspirowaniem innych ludzi, aby wydobyć z nich ich największy potencjał.

Muszę też dodać, że nasza przyjaźń przetrwała wiele dziesięcioleci po ukończeniu przeze mnie studiów, Lilian stała się prawdziwym i drogim przyjacielem. Jak tylko spotkaliśmy się na polu zawodowym zwolniła mnie z roli „ucznia" i awansowała na „przyjaciela", pomimo różnicy wieku. Żartowaliśmy, że jest moją „drugą matką", bo szukałem jej opinii i rady w wielu życiowych sprawach. Podobnie jak w swojej karierze pedagogicznej, zawsze przekazywała swoje myśli z niezwykłą starannością i hojnością, a jej sposób w jaki dzeiliła się uwagami był bez zarzutu.



Lilian Lampert, Jamon serrano, rysunek, fot. arch. artystki

Była obiektywna, co jest najlepszą rzeczą, jaką może dać prawdziwy przyjaciel. Szczerze kochała ludzi i pielęgnowała tych, którzy ją otaczali z bezinteresownym oddaniem. Miała dużą i różnorodną grupę zaprzyjaźnionych osób zarówno z Polonii, jak i spoza niej, którzy w jej pięknym domu celebrowali życie i przyjaźń przy niezliczonych okazjach. Chociaż nie wszyscy się znali, nasze spotkania były pełne śmiechu, pysznego jedzenia (jej dania były słynne), wina i wzajemnego świętowania.

Zawsze towarzyszyła nam żywa i interesująca rozmowa, którą inicjowałą Lilian, pełna osobistego uroku. Czerpała przyjemność z łączenia ludzi, których lubiła i podziwiała, co sprawiło, że na jej twarzy często pojawiał się blask szczęścia.

Tłumaczenie: Kika Misztela

*

Colin Gillies, były student, wykładowca, a przede wszystkim przyjaciel.

*

G A L E R I A

*



Lilian Lampert, rysunek, fot. arch. artystki



Lilian Lampert, rysunek, fot. arch. artystki



Lilian Lampert, rysunek, fot. arch. artystki



Lilian Lampert, rysunek, fot. arch. artystki



Lilian Lampert, rysunek, fot. arch. artystki

*

Zobacz też:

> Liliana Baczewska-Lampert. Była wspaniałą nauczycielką.

> Liliana Baczewska-Lampert. Wspomnienie o mojej mamie.

Przywracanie pamięci. Liliana Baczewska-Lampert (1931-2021)

Na łodzi



Fot. Christine Sponchia z Pixabay

Barbara Osuchowska

Druga część powieści Danuty Błaszak pt. „Fryzjerka" – Fryzjerka 2. Miodem płyną rzeki", to zupełna niespodzianka. Burzy wszelkie schematy, nie tylko obyczajowe, ale także literackie. Tytuł nie stanowi metatekstowej wypowiedzi; nie tylko bohaterka zmienia się, ale i miejsce akcji. Baza ratowniczych śmigłowców, ludzie mieszkający w zamkniętym osiedlu razem z rodzinami – gdzie *miodem płyną rzeki* – to zupełnie nowy wymiar świata, nawet w najnowszej powieści.

Epidemia corona-virusa to także gorący temat. Antymaskowcy i zaraz potem antyszczepionkowcy, zawistnicy, podstępni knowacze to rzeczywistość bez osłonek. Perypetie bohaterki, choć zgodnie z regułą fabuły tragicznej – od nieszczęścia do szczęścia i odwronie też nietypowa. Dialogi krótkie, używane jak rozkazy, błyskawiczne zwroty akcji. Nie tylko bohaterka Jolka za tym nie nadąża. Także tu nie ma czasu na wahanie, a czytelnik sam ma wrażenie jakby znalazł się w Bazie Ratownictwa Medycznego, gdzie nie ma miejsca na brak kompetencji. Lotnicy i medycy muszą współpracować. Życie i zdrowie to cel nadrzędny, a to, co przeszkadza, musi ustąpić. Rozpiętość elementów akcji zadziwia swoim rozmiarem. Latamy razem z Jolą i Wandą, lądujemy w bazie, mieszkamy z ich rodzinami na wydzielonym osiedlu. W połowie książki orientujemy się, że to oni nie my latamy. Wydarzenia z życia rodzinnego, ciąża Jolki

trudna relacja z mężem, poznanie tragedii Ligii… Ważnym faktem jest to, że Jakub i jego siostra latają samolotami i helikopterami. Wszystko, co dziwne w relacjach nowopoznanych ludzi, zmienia Jolkę. Nie jest już fryzjerką, a świat ploteczek lub ważnych porad życiowych dla klientek jest poza nią.

Książka, do której się wraca. Wzięłam ją jeszcze raz do ręki. Znalazłam cytat: *I już nic nie zostawiła (Jolka) w mieszkaniu osobistego. (W starym mieszkaniu.) Tylko meble do sprzedania. Na pewno nic.* To właśnie jest moment wyrzucenia ze świadomości, tego co było złe.

A drugi cytat dotyczący dalszego ciągu pozbywania się „dawnego", nie rzeczy, ale nadmiaru tolerancji dla złych zawistnych ludzi. *Czy ona nie wejdzie nam w drogę, jak szefowa otworzy drugi zakład fryzjerski? Musimy na Jolantę uważać. Mieć ją na oku.*

Książka Danuty Błaszak wpisuje się w uniwersalny obraz świata. To, co najpiękniejsze, człowiek musi z siebie wydobyć sam. Zachować dystans do siebie i innych, żeby nie zatracić tego, co jest zwyczajne i niepowtarzalne. Egoizm vs. Altruizm, ale najważniejsze jest dążenie za marzeniami, chęć dokonywania zmian z towarzyszeniem przewartościowań i nieustanną ciekawością świata.

I tu zacytuję Asnyka: Trzeba z *Żywymi naprzód iść, / Po życie sięgać nowe.*

Ważne, że człowiek sam steruje swoim życiem i jest to powiedziane w różnych formach twórczych. To człowiek sam musi podejmować decyzje i szukać dla siebie drogi, bo jeśli ludzie zrobią to za niego to może wszystkim zaszkodzić. Jeszcze jeden cytat, tym razem z „Sonetów Krymskich", Adama Mickiewicza.

> *Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi;*
> *Tam z dala błyszczy obłok – tam jutrzenka wschodzi;*
> *To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu*.

Mickiewicz jechał przez stepy na wozie, Jolka latała samolotem, ale właśnie łódź zawsze była symbolem życiowej drogi.

Jola już wie, czego dokonać może sama. Potrafi odnaleźć się i pomóc w sytuacji zagrożenia czyjegoś życia. Czytelnik po przeczytaniu powieści też wie o sobie więcej.



Danuta Błaszak „Fryzjerka 2. Miodem płyną rzeki”, projekt okładki Agnieszka Herman. NORBERTINUM, Lublin 2022

*

Zobacz też:

> Fryzjerka 2 – druga część powieści Danuty Błaszak

> Od marzeń do spełnienia

Dziewczyna z ulicy Piwnej, która zachwyciła Hollywood



Beata Poźniak-Daniels w Gdańsku, fot. Katarzyna Piotrowska

Choć wyjechała z Gdańska w połowie lat 80., wciąż wraca do rodzinnego miasta, bo czuje, że tu nadal jest jej dom. O amerykańskim śnie, przełomowej roli u Olivera Stone'a i tym, co nie wyszło, rozmawiamy z Beatą Poźniak-Daniels, aktorką, która pierwsze kroki stawiała na deskach Teatru Wybrzeże.

*

Alicja Olkowska:

Jak wygląda Gdańsk w pani wspomnieniach, jeszcze sprzed wyjazdu do Stanów? Gdzie pani mieszkała?

Beata Poźniak-Daniels:

Mieszkam – specjalnie mówię mieszkam, bo tutaj nadal znajduje się mój rodzinny dom, na ul. Piwnej. Mówią, że „wyjechałam", ale ja sercem tu ciągle jestem, w dalszym ciągu u mamy. W tym mieście jest jakiś magnes, który przyciąga. Mimo że człowiek podróżuje i pracuje gdzieś w świecie, wraca do Gdańska. Poza tym tu były moje najważniejsze wspomnienia, momenty, gdzie się ukształtowałam – tu była pierwsza miłość, pierwsza szkoła, pierwszy teatr, pierwsza praca.

Do jakiej szkoły pani chodziła?

Chodziłam do SP nr 37 na ul. Ogarnej (obecnie mieści się tu Pałac Młodzieży). Wręcz kochałam to szkolne boisko, bo z chłopakami grałam tu w piłkę nożną. A naprzeciwko zawsze w przerwie podczas zajęć, pani w cukierni nam sprzedawała tzw. „murzynki", moje ulubione ciastka. Nawet dawała nam większe porcje, a więc regularnie do niej wracaliśmy.

Pamiętam też, jak często wracałam ze szkoły, to wpadałam na

rozmowy o książkach z panią z księgarni na ul. Długiej, tuż przy kinie Neptun. Przez to zawsze pani mi dawała znak, kiedy przywiozą Różewicza, Witkacego czy Mrożka. Wiedziała, co mnie najbardziej interesuje. Potem, jak czasy się zmieniły i były kartki żywnościowe, dawałam jej moje kartki, żeby w zamian mieć książki spod lady. Były to czasy tzw. pustych półek.

Po szkole obowiązkowo chodziłam do Teatru Wybrzeże – byłam na każdej premierze, czasami po kilka razy na tej samej sztuce. Teatr to dwa kroki od Piwnej, a więc był moim drugim domem. Tutaj też zadebiutowałam (jeszcze jako studentka III roku PWSFTViT) w sztuce Sławomira Mrożka „Vatzlav" jako Justyna. A potem dyrektor obsadził mnie w „Panu Damazym" w reżyserii Jerzego Afanasjewa. Grałam Helenkę, córkę Tadeusza Gwiazdowskeigo (Pan Damazy). Skoro jeszcze byłam w szkole teatralnej, zaliczono mi te dwie sztuki jako dyplom. Było to zaraz po stanie wojennym w Polsce.

Kiedy pani poczuła, że aktorstwo jest pani powołaniem?

W rodzinie mamy lekarzy, a więc każdy myślał, że pójdę w ich ślady. W liceum wybrałam klasę o profilu biologiczno-chemicznym. Tylko że mnie „rozrywało" – miałam dużo pomysłów i chciałam je realizować. Byłam niespokojnym duchem. Brałam udział w zawodach szybkiej jazdy na lodzie czy piłki ręcznej, chodziłam na konkursy recytatorskie i też

założyłam zespół taneczny. Nie miałam wykształcenia baletowego, moje pomysły i wykonanie były raczej amatorskie, ale teraz z perspektywy czasu było to świeże i spontaniczne. Nawet zaskoczona byłam, że jeździłyśmy na festiwale. Świetna zabawa bez kompleksów i przejmowania się krytyką. Ale kto mógł się oprzeć ośmiu pełnym uśmiechu dziewczynom? (śmiech)

Beata Poźniak-Daniels w filmie „JFK" Oliviera Stone'a

W latach 80. wyjechała pani do Stanów. Zanim trafiła do filmu „JFK" Oliviera Stone'a, o zamachu na prezydenta Kennedy'ego, występowała we własnym teatrze eksperymentalnym, teledyskach, była modelką. Jak wyglądało życie dziewczyny z Polski, która w zupełnie nieznanej rzeczywistości musi zaczynać wszystko od nowa?

Gdy tylko przyjechałam do Los Angeles, w czasie spotkań do nowej sztuki, spodobały się moje pomysły producentowi i zaproponowano mi reżyserię spektaklu, a więc zaraz założyłam „Teatr Discordia", teatr poszukujący i eksperymentalny. Nie wiedziałam tego wtedy, ale teraz to widzę z perspektywy czasu, że dlatego był to „poszukujący" teatr, bo w podświadomości „poszukiwałam" samej siebie na obczyźnie. Szukałam swojej tożsamości. Na pewno miłą niespodzianką było to, jak sztuka „Poeticus Umbilicus", napisana przeze mnie, wybrana została przez Petera Sellarsa na Międzynarodowy Festiwal Teatralny. Nie mogłam uwierzyć, że ekipa CNN przyjechała do mojego

teatru, żeby przeprowadzić wywiad ze mną. Poczułam się nagle doceniona. Prawda jednak jest taka, że nie mogłam wyżyć z teatru i zostawiłam go w momencie największego sukcesu. Pomyślałam: co ja robię z teatrem w stolicy filmowej, w Hollywood?! I odcięłam pępowinę. Wtedy zadebiutowałam w „JFK" Olivera Stone'a. Kupiłam dom. Zrobiłam serial. Odżyłam. I tak pozostałam przy filmie i telewizji.

Wciąż jednak działała pani solo, z dala od domu i bliskich.

Tak, ale ważne było dla mnie to, żeby się sprawdzić w zawodzie. Nie miałam pomocy rodziny czy bliskiego partnera. Wszystko, co osiągnęłam to dzięki mojej własnej, ciężkiej pracy. Jak przyjechałam do USA, to nie miałam kilkunastu lat, gdy jest łatwiej z językiem czy oswojeniem się w nowej kulturze. Byłam już kobietą po studiach, a łatwiej się przesadza młode drzewo niż dojrzałe. A więc nie było łatwo, ale co łatwo przychodzi, łatwo odchodzi. Ludzie wspominają rzeczy, które przyszły z trudem.

Rola Mariny Oswald w „JFK" była przełomowa i otworzyła pani drzwi do Hollywood. Udało się też pani spotkać z samą Mariną, żoną domniemanego zabójcy prezydenta Kennedy'ego. Jaką była osobą?

Zacznę od tego, że praca przy tym filmie była nietypowa. Scenariusz otrzymałam i było napisane „Marina i Lee Harvey

Oswald na przyjęciu – ad lib” (ad lib – znaczy improwizacja). Następne zdanie „Marina i Lee Harvey Oswald walczą, kłócą się – ad lib”. Gary Oldman, który grał mojego męża mówi do mnie: „Co my gramy? Nie ma zdań, nie ma sceny, dialogu!”. A więc Oliver Stone wysłał nas do Dallas i tak zaczynaliśmy tworzyć role.

Potem spotkałam się z moją postacią, samą Mariną Oswald, żoną domniemanego zabójcy prezydenta Kennedy’go. Zamieszkałam z nią. Pokazywała mi zdjęcia i filmy dokumentalne, a ja je potem odtwarzałam dla reżysera. Przepisywałam jej słowa z dokumentów, które mi pokazywała i potem np. grałam to dla Olivera. Następnie spotykałam się Oldmanem i pisaliśmy swoje dialogi. Rano odgrywaliśmy to dla reżysera. Bardzo niecodzienny sposób pracy dla aktorów. I tak przez wiele miesięcy.

Jestem przekonana, że taka rola zdarza się raz w życiu dla aktora, jeżeli w ogóle. Zagranie postaci, historycznej, która żyje w naszych czasach. To nie jest to, że gram np. Królową Bonę i proponuję swoją interpretację. Tu była większa odpowiedzialność, bo wiedziałam, że Marina Oswald i jej rodzina żyje i to oceni.

W filmie pani mężem jest Gary Oldman, wspaniały aktor, ale też ponoć trudny człowiek. Winona Ryder, która występowała z nim w „Draculi” Coppoli narzekała, że praca

z nim była wymagająca, a on sam lubił przyjść na plan zdjęciowy po kilku drinkach. Jak pani się z nim pracowało?

Gary jest wybitnym kameleonem aktorskim. Bardzo głęboko wciela się w swoją postać – jest nią też pomiędzy zdjęciami, ujęciami i w czasie zdjęć. Poza planem w dalszym ciągu mówił do mnie akcentem Lee Harvey Oswalda. Ludzie często nie rozumieją, że praca aktora jest bardzo wymagająca i żeby dojść do perfekcji, czasem trzeba pójść na całość – całą dobę przeżywać postać.

Pamiętam, że mieliśmy do zagrania scenę walki, kłótni, a Oliver chciał, żebyśmy poszli na całość. Dzień przed zdjęciami czuliśmy się jak dwa tygrysy zamknięte w klatce. Scena się bardzo udała – Oliver ją dołączył do filmu, a była to improwizacja. Musimy pamiętać, że każdy aktor ma inny styl pracy. Na przykład Kevin Costner to żartowniś i tuż przed słowem „akcja" jeszcze kończy opowiadać mi kawał.

Beata Poźniak-Daniels w serialu „Merlose Place"

Potem był m.in. serial bijący rekordy popularności na całym świecie, czyli „Melrose Place", produkcja samego boga telewizji, Aarona Spellinga. Dołączyła pani do obsady w dość zaskakujący sposób, kiedy wydawało się, że rola przepadła. Po czasie okazało się, że pani wątek wzruszył wielu widzów i stał się częścią przemian społecznych

w USA.

To prawda. Spelling chciał coś dla mnie napisać, ale ja nie umiem się odnaleźć w landrynkowych rolach, co powiedziałam głośno. Myślałam, że odpuści, a on napisał świetną postać lekarki, która samotnie wychowuje dziecko i wychodzi za mąż za geja, który staje się ojcem jej dziecka. W tych czasach był to pierwszy serial, który opowiedział historię takiej rodziny. Producenci dostali szaloną ilość listów z podziękowaniem za akceptację oraz zrozumienie takich rodzin, a moja postać w rankingach była numerem jeden. Ludzie podchodzili do mnie na ulicy i z niedowierzaniem pytali „Czy naprawdę wyjdziesz za mąż za Matta?!”.

Także dzięki pani w Białym Domu obchodzony jest Dzień Kobiet. Jak do tego doszło?

To trochę wynikło z mojego zainteresowania statystykami. Na przykład tylko 24 proc. członków Akademii Filmowej stanowią kobiety. Tylko jedna kobieta-reżyser do tej pory zdobyła Oscara. W ciągu 86 lat tylko 4 kobiety były nominowane za reżyserię. Ile kobiet zasiada w Senacie czy Kongresie? Ile kieruje i zarządza studiami filmowymi, ile jest pań dyrektorów teatrów, ile kobiet zostaje prezydentami miasta? Nie myśli się o tym na co dzień, ale kobiety odczuwają to. Gdy producenci przysyłają scenariusz i pytają się, co chciałabym zagrać, odpowiadam: interesuje mnie

rola John’a, bo John ma coś do zagrania, a Mary nie.

Pani audiobook został doceniony, a „Washington Post” umieścił panią na liście pięciu najlepszych lektorów. Czy w planach są kolejne wydawnictwa?

Jest to dla mnie wielkie wyróżnienie i zaskoczenie zarazem, bo Penguin Random House poprosił, zaraz po mojej narracji audiobooka o historii Katarzyny Wielkiej, która była bestsellerem, żeby przeczytać następną książkę „The Tsar of Love and Techno”. Washington wybrał 5 najlepszych książek i naszą umieścił na pierwszym miejscu. To nie tylko sukces dla wydawnictwa, ale sukces dla innych zagranicznych aktorów, bo po raz pierwszy wydawnictwo zatrudniło nieanglojęzyczną aktorkę. A wiec jest szansa na kolejne projekty.

Czy coś się jednak nie udało w pani „amerykańskim śnie”? Czy żałuje pani, że gdzieś mogło pójść lepiej, inaczej, gdzieś trzeba było zapłacić wysoką cenę? Była pani brana pod uwagę przy filmie „Wywiad z wampirem”, ale ostatecznie nie dołączyła do obsady.

Tak, w tamtych czasach ogromne powodzenie miał serial „Melrose Place”. Był to wielki hit i producenci nie chcieli puścić mnie do żadnej innej produkcji, a szczególnie na zdjęcia do „Wywiadu z wampirem”. Teraz czasy się zmieniły, a więc

wszystko możliwe. Producenci rozumieją, że jak aktor zagra w znanym filmie i potem wracając do serialu będzie kontynuował swoją rolę, to dla nich to też jest sukces, bo nazwisko aktora z pewnością będzie bardziej rozpoznawalne.

Była też moja rola w filmie „Noriega" w reż. Olivera Stone'a, który obsadził mnie jako partnerkę Ala Pacino. Po dwóch miesiącach pracy i prób, studio Warner Bros powiedziało, że film robi się zbyt drogi i polityczny. To było dla mnie wielkie rozczarowanie. Wtedy zrozumiałam, że to nie tylko nam, tym „mniejszym i początkującym" artystom się to zdarza, ale też oscarowym twórcom jak Stone i Pacino. W końcu ta produkcja nigdy nie powstała.

W międzyczasie wracała pani do Polski, gdzie występowała w rodzimych produkcjach. Były m.in. seriale „Klasa na obcasach", „Złotopolscy" i „Ojciec Mateusz". Czy gdyby pojawiła się ciekawa propozycja stałej współpracy przy polskim serialu, zdecydowałaby się pani wrócić na dłużej do Polski?

Dużo czasu spędzam w Polsce, mam dom w Trójmieście i Los Angeles, a jestem tam, gdzie są ciekawe propozycje. Ceniłam pracę w „Złotopolskich", to był dobry czas. Natomiast kierownictwo produkcji „Ojca Mateusza" napisało do mnie, że reżyser Maciej Dejczer chciałby mnie poznać i ma pomysł na

moją postać. Poprosił, abym przyjechała i zagrała gościnnie w serialu. I zaraz tak się stało. Świetny serial i miła przygoda.

Zawodowo osiągnęła pani duży sukces – wiele polskich aktorek marzy, by mieć podobną możliwość i zagrać u boku gwiazd w Hollywood. W parze z zawodowym spełnieniem szło u pani, co też jest dość niecodzienne, szczęśliwe życie prywatne. Często jest tak, że artyści mają albo jedno, albo drugie, a za sławę płacą wysoką cenę. Jak pani udało się to wszystko pogodzić?

Ważne, żeby się nie spalić w tym zawodzie i nigdy nie być zdesperowanym. Ja odnalazłam się w rzeźbie. Także maluję – mam pracownię. To jest miejsce, gdzie ciągle się odradzam, bo kreuję. Jest to miejsce ciszy, odetchnienia, odskocznia, gdzie słyszę swój wewnętrzny głos. Lubiłam przebywać u dziecka w szkole i nawet byłam tam woluntariuszką. Lubiiłam poznawać innych rodziców, którzy nie byli z mojego zawodu. Mieli ciekawe życie, a przez to moje życie się wzbogacało.

Pani mąż jest Amerykaninem, ale syn potrafi mówić po polsku. Czy odwiedza z panią Polskę? Czuje, że jest to także dla niego ważne miejsce?

Jestem dumna z syna. Zdał egzamin państwowy z języka polskiego. Chciałam zaszczepić w nim od małego naszą

wspaniałą kulturę, tradycję, żeby mówił po polsku. Przecież odziedziczył po dziadkach słowiańską duszę i trzeba ten dar pielęgnować.

Tęskni pani za rodzinnym miastem i na bieżąco obserwuje, co się w Gdańsku dzieje?

Tak, oczywiście, to wciąż jest mój dom. Jak w Stanach mówię, że jestem z Gdańska, to już nie muszę dodawać „z Polski", bo mi zaraz z uśmiechem odpowiadają: wiemy, ty pochodzisz z miasta Solidarności i Lecha Wałęsy!

*

Wywiad ukazał się na portalu Trójmiasto.pl (https://rozrywka.trojmiasto.pl/) 15 lutego 2016 r.

*

Zobacz też:

> Kobiety, które inspirują

> Droga do nieba

Liliana Baczewska-Lampert. Była wspaniałą nauczycielką.



Lilian Lampert, Behind the gate, travel memories, fot. arch. artystki

Tracy Walker *(Toronto)*

Lilian była wspaniałą nauczycielką, zdyscyplinowaną, pasjonującą się zarówno ilustracją, jak i nauczaniem, z wysokimi standardami w stosunku do swoich uczniów. Zawsze zachęcała nas do pogłębiania tematów i analizowania pomysłów z wielu perspektyw. Rozkwitałam pod jej kierunkiem i te standardy towarzyszyły mi potem w życiu zawodowym. Jej szczerość i bezpośredni sposób mówienia był zrównoważony zachętą i zabawnym podejściem do rozwiązywania problemów. Miała też figlarne poczucie humoru! Po ukończeniu studiów utrzymywałyśmy kontakt i dzielilyśmy się postępami w naszym twórczym życiu. Formalny związek ucznia z nauczycielem

rozpłynął się, kiedy w pełni mogłam poznać jej życzliwość. Zaledwie kilka lat temu odwiedziła przyjaciółkę w pobliżu (mieszkam w Uxbridge ON) i wpadła do mnie. Wypiłyśmy kilka sznapsów w moim studio w ogrodzie, długo rozmawiałyśmy i wspominałyśmy. Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałem ją tak roześmianą. Była pełna radości.

*



Lilian Lampert, Dry Goods, travel memories, fot. arch. artystki

Lilian była bardzo prywatną osobą. Niewiele wiedziałem o jej życiu przed emigracja do Kanady. Najważniejszą lekcją jaką zapamiętałam, było umiejętnie balansowanie pomiędzy osobistą dyscypliną pracy a radością płynącą z aktu tworzenia. Na swój sposób myślę, że uszczęśliwiała ją świadomość, że jej praca jako

wykładowcy pozostawiła w nas ślad… być może dlatego utrzymywaliśmy z nią kontakt. Moja kariera była niezwykle satysfakcjonująca — jestem niezależnym ilustratorem od ponad 30 lat — wciąż słyszę jej głos i odczuwam jej wpływ na mnie, za każdym razem, gdy siadam do pracy.

Tłumaczenie: Kika Misztela

*

Tracy Walker, artystka, graficzka, ilustratorka:
www.tracywalkerart.com

*

G A L E R I A

*



Lilian Lampert, ECUADOR, laundry, travel memories, fot. arch. artystki



Lilian Lampert, Distant Shore, landscape, fot. arch. artystki



Lilian Lampert, Melting snow, landscape, fot. arch. artystki

*

Zobacz też:

> Liliana Baczewska-Lampert. Wspomnienie o mojej mamie.

Pudełko z Uchty



Poczta polowa, fot. Greg Montani, Pixabay

Ryszard Sawicki *(Kalifornia/Namysłów)*

*

Uchta jest miastem położonym nad rzeką Uchtą, w dorzeczu Peczory, w rejonie Komi, na drodze do Workuty. W 1966 roku miasto miało pięćdziesiąt jeden tysięcy mieszkańców. Jest to ośrodek eksploatacji i przeróbki ropy naftowej oraz gazu ziemnego. Istnieje tam też przemysł metalowy, materiałów budowlanych i drzewny.

Pudełko zrobione jest z brzozowej kory, a jego dno i wieko są z brzozowego drewna. Pojedynczy płat kory nawinięto na obłe kawałki drewna, a końce połączono nacinając je w trójkąty i wpuszczając jedne w drugie. Pudełko jest niemal kwadratowe, o wymiarach siedem na siedem centymetrów, ma prawie trzy centymetry grubości. Kora pociemniała z upływem czasu, jest w kolorze ciemnego ugru. Na ściance bez trójkątnych cięć jest na pudełku napis: „ZSRR, Komi, ASRR, Uhta, 6.VII. 1940”.

Pudełko znalazłem wciśnięte pomiędzy papierowe torebki z monetami i orderami, w czerwonym kartonowym pudle, które włożone zostało do jeszcze innego pudła z listami, dokumentami i kilkoma albumami pełnymi zdjęć. Wszystkie te pudła z zawartością zostały przesłane z Chicago do Wrocławia kilka lat temu. Należały do zmarłego w 1996 roku Kazimierza Czerwińskiego, szkolnego kolegi mojego ojca Zbigniewa Romana Sawickiego. Na strychu w domu rodziców przeleżały do niedawna, raz tylko przeglądane, zaraz po otrzymaniu przez rodziców przesyłki. Dziś mam wolny dzień, nie tłumaczę, nie piszę, nie rysuję. To pierwszy ciepły dzień od dłuższego czasu. Ciepło jest również na strychu, więc można zaglądać w zakamarki. Skorzystałem więc z pogody, wydobyłem pudła pana Kazimierza ze strychu, otworzyłem je i tym razem dokładnie przejrzałem zawartość. Kilka pakietów listów przeglądałem szczególnie starannie, bo spodziewałem się znaleźć materiał do kolejnego artykułu o Syberii. Nie spodziewałem się jednak, że

znajdę coś więcej. Pudełko z Uchty wpadło mi w ręce, gdy przechyliłem czerwone pudło chcąc wysypać jego zawartość na strychowy stolik. Ciężkie torebki z monetami i orderami były ułożone dość ciasno, a pudełko z kory, puste, lekkie, leżało na samym dnie. Było schowane pod „Kalendarzykiem na rok Pański 1943", wydrukowanym przez ojców Franciszkanów w Jerozolimie dla Domu Polskiego prowadzonego przez siostry Świętej Elżbiety. W kalendarzyku są rozmaite zapiski pana Kazimierza (Kazika, jak nazywa go ojciec). Są też wydrukowane fragmenty „Listu do Matki", poematu „O Piaście Dantyszku" i innych tekstów Juliusza Słowackiego. Niektóre teksty czytałem jeszcze na strychu, zaraz po odstawieniu pudełka. Wydały mi się komentarzem do losów pudełka i jego właściciela.

> Patrzej ty na mnie: ot, taki jak jestem, widziałem Boskich na oczy aniołów; ot, taki nędzarz, brudny od popiołów, obmyty krwawym narodowym chrzestem, nie mogąc przeżyć bez pociech do zgonu, poszedłem na górę Syjonu, cokolwiek duszy ulżyć płaczem zdrowym na zakrwawionym Grobie Chrystusowym; za moje martwe syny się pomodlić, a tego przekląć co ważył się spodlić; za tych, co zabił tyran i zabija, zmówić na grobie Ave Maria… na te mogiły, gdzie leżą krwawymi, jerozolimskiej przynieść trochę ziemi i grobowiec ich cichy, nieszczęśliwy, przysypać liściem srebrzystym oliwy, która Chrystusa uroszona łzami wyrosła drzewem

> litości nad nami („O Piaście Dantyszku”).

Nie wiem jak długo Kazik był w Ziemi Świętej. Domyślam się, że zdążył zwiedzić Jerozolimę. W kopercie z monetami palestyńskimi są metalowe krążki z dziurami po środku, *(five, ten, twenty mils)*, dwa miedziaki bez dziur *(one, two mils)*, jedna moneta o wartości pięćdziesięciu mil i jedna srebrna stu milowa. Dwie najstarsze, dwu i pięćdziesięciomilowe, pochodzą z 1927 roku, najmłodszymi są stumilowe, z 1940 roku. Zapewne wiele innych monet wydał Kazik kupując owoce na bazarach palestyńskich, rzucał je do kościelnych puszek lub dawał na tacę podczas mszy. Jako żołnierz polski w brytyjskiej służbie nie dysponował zbyt wielką gotówką, więc nie często wyjmował banknoty z kieszeni munduru. Monety przechowywał być może w pudełku z Uchty. Wchodząc do Świątyni Grobu Pańskiego mógł powtórzyć za Słowackim: *Patrzaj ty na mnie, ot taki jaki jestem, nędzarz… obmyty krwawym narodowym chrzestem.*

Jedząc soczyste owoce dojrzałe w słońcu Południa zapominał powoli o coraz bardziej odległej Północy. Zapominał? Czy można zapomnieć, choćby bardzo się chciało, okrutną niewolę? Czy można zapomnieć transport nieopalonymi bydlęcymi wagonami w głąb rosyjskiej, nieludzkiej krainy? Czy postój na jednej ze stacji, gdy otwarto ostatni wagon, do którego przenoszono w czasie podróży słabszych jeńców? Stali oni w kilku kręgach,

objęci ramionami, martwi. Zamarznięci, scaleni. By uwolnić wagon dla innych więźniów, zamarznięte ciała cięto piłami, a fragmenty zwłok rzucano przy torach. Czy można zapomnieć ukąszenia rosyjskiej zimy, nawet mając usta pełne ożywczego soku palestyńskiej pomarańczy? Czy można się kiedykolwiek zupełnie wyzwolić z takiej niewoli?

Pudełko z kory przypominało Kazikowi o tym co przeżył i jak przeżył. Chyba nie chciał by wszystkie wspomnienia się zatarły. W Iranie czy Palestynie był wolny, uwolniony z nieludzkiej ziemi, lecz dwaj okupanci wciąż zajmowali jego ojczyznę, którą podzielili między siebie jak jabłko. Jak owoc, który spadł z drzewa w jednym z ogrodów we Lwowie, w jesieni 1939 roku. O lwowskich jabłkach i gruszkach, czereśniach i wiśniach, myślał też zapewne jedząc bliskowschodnie, słodkie owoce. A zwłaszcza o wiśniach z ogrodu moich dziadków przy końcu ulicy Łyczkowskiej, które zjadali z kolegą Zbyszkiem, moim ojcem, nim obaj zostali żołnierzami.

Fragment listu Juliusza Słowackiego do matki mógł Kazik powtarzać siedząc nad Jeziorem Genezaret. Powtarzać, jakby to był jego własny list do bliskich we Lwowie.

> Przepędziłem całą noc sam jeden w Grobie Chrystusowym, modląc się za Ciebie i naszych. Byłem w Betleem, w Jerycho,

> w Nazaret, nad Jeziorem Genezaretańskim, gdzie Chrystus mi był przed oczyma… zdawało mi się, ze jego spokojna postać stoi zawsze na błękicie fali, z głową otoczoną promieniami. Nad tem jeziorem spałem pod gołym niebem… jaka to była chwila ile pamiątek oświecał mi ten księżyc nad cichym Genezaretańskim jeziorem, tego opowiedzieć nie mogę… Pomyśl, że byłem w grocie, gdzie pasterzom anioł zwiastował Narodzenie Chrystusa, że byłem przy Grobie Chrystusa i słuchałem Mszy odprawianej na nim za moją Ojczyznę.

W kalendarzu, pod innym krótkim cytatem ze Słowackiego, Kazik zapisał daty ze swej wędrówki ku wolności:

> Dwudziestego sierpnia 1942 roku przejazd przez miasto Mrowy, 21 przejazd przez Aszchabad, 22 przyjazd do Krasnowodska, 25 przyjazd do Pahlewi.

Trzynastego maja 1942 roku mógł wysłać do Lwowa, już pod okupacją niemiecką, nie sowiecką, depeszę przez Czerwony Krzyż:

> Jestem zdrów, powodzi mi się dobrze, dobrze wyglądam,

> wszystkich mocno całuję i serdecznie pozdrawiam, kochana Babuniu bądź o mnie spokojna.

A 25 listopada dostał odpowiedź na odwrocie tej samej depeszy, pisaną ręcznym pismem:

> Jesteśmy wszyscy zdrowi, ogromnie się ucieszyliśmy wiadomością, Twoja Babcia tęskni bardzo i mocno Cię całuje jak i my wszyscy, całujemy Cię serdecznie.

Depesza Kazika była pisana na formularzu angielskim, z napisami po angielsku i niemiecku. Wiadomości spisane zostały po polsku. Pod czerwonym prostokątnym krzyżem biegł czarny druk

> From War Organisation of the British Red Cross and Order of St. John, Enquirer. Name: Czerwiński. Christian name: Kazimierz. Address: Plut. Podchr. A. P. z Rosji Nr 4002.

Rubryki *Relationship of Enquirer to Addressee* nie wypełniono. Dalej wydrukowano: *The Enquirer desires news of the Addressee and asks that the following message should be transmitted to him.*

I po niemiecku: *Der Fragsteller verlangt Ankunft ueber der Empfaenger, bitte um Weiter beforderung dieser Meldung*.

Poniżej adres: Lemberg, ul. Mączyńskiego 21 m.6, distr. Galizien, General Goverment. Było też kilka pieczątek: ocenzurowano, examined by censor, oraz Delegat P.C.K. przy Armii Polskiej na Wschodzie. Potwierdzeniem tej depeszy była następna wysłana ze Lwowa 25 listopada 1942 roku, a doręczona plutonowemu podchorążemu armii polskiej z Rosji 7 grudnia 1942 roku. I ta depesza oznaczona była pieczątkami. U góry małą fioletową, prostokątną pieczątką: Deutsches Rotes Kreuz, Der Dennftragte beim Geralgouverneur Dienstelle Galizien, Lemberg. Odręczny numer: 4873/1/42. Dalej drobny druk czarny: Antrag durch das Deutsche Rote Kreuz, Praesidium Auslandsdienst Berlin SW61, Bluecherplatz 2, am die „Agence Centrale des Prisonniers de Guerre".

Niemieckie władze, w przeciwieństwie do angielskich, wymagały by wiadomość zawierała nie więcej niż 25 słów („Hoechtzahl 25 worte"). I była rzeczywiście krótka: *Cieszymy się, że jesteś zdrowy, my wszyscy zdrowi, pozdrawiamy cię i całujemy serdecznie, Babcia i cała rodzina*. Innej korespondencji z roku 1942 nie ma wśród papierów, które odnalazłem w pudle. Za to są listy od znajomych, od osób cywilnych, które tak jak Kazik ocalały po zsyłce na Syberię, ale zanim wróciły do sił by podróżować dalej, zostały skierowane do rozmaitych obozów

przejściowych od Iranu po Indie. Jedną z nich była Helena Kurzejowa, nauczycielka, która w listopadzie 1942 roku przebywała w Teheranie. List z datą 20.XI.1942 dotarł do adresata w styczniu 1943 roku.

> Panie Kaziku! Za pamięć serdecznie dziękujemy. Nie odpisałam na list ani Panu ani Panu Michałowi, bo mi okazje uciekały, nie dopilnowałam. Teraz daję przez bliskiego sąsiada bo przyjechał do żony, która właśnie mieszka z nami w szałasie! Miło było czytać listy od swoich znajomych, że nawet poniekąd od swoich bliskich. Panowie bliscy i swoi. Zżyliśmy się, to prawda, no ale teraz dzielą nas góry wysokie i dalekie. Mamy jednak nadzieję, że Bóg dobry da nam znów się zobaczyć w swoim kraju, do którego tak wszyscy tęsknimy. Może nadejdzie chwila, o której marzymy, wcześniej aniżeli nam się zdaje. Ja na przykład wolałabym tu przetrwać i stąd jechać prosto do Ojczyzny. Chociaż Afryka też ciekawa, ale droga trochę mogłaby być przykra. W ostatecznym razie wolałabym już węże zaklinać w Indiach, ale wybór, niestety, do mnie nie należy. Jak uznają za słuszne, tak będzie. Na razie nam to nie grozi, ale każdy miesiąc może coś nowego nam przynieść. Jak się Pan czuje w tej pustyni? Bo my to jak w mieście, na przepustkę do Teheranu możemy chodzić ile kto chce.

> Miasto na ogół ładne, wszystkiego pod dostatkiem, byle mieć za co kupować. Gdyby tak można było mieć te pieniądze, które mieliśmy w Kilabie, to mielibyśmy tu raj. Można dostać wszystko to, co u nas było w Polsce. Wokoło nas piękne góry, na których leży śnieg, dlatego i u nas zimno. Noce chłodne, ale zdrowe powietrze, czyste, mroźne. Czujemy się więc dobrze, byle tylko tak dalej było. No, Panie Kaziku, proszę trzymać się zdrowo i cało, wracać do Rodziny, do swoich. Jedźcie pierwsi, a my w ślad za Wami. Tymczasem ściskam serdecznie, Ciocia serdecznie pozdrawia, a jeśli wolno nawet i ściska, od Zosieńki serdeczne uściski i ładny dyg.

Tęsknotę do kraju łączyła Helena z nadzieją, że do Ojczyzny jest prosta droga. Wprawdzie liczyła się z tym, że czasy niepewne, *każdy miesiąc może coś nowego przynieść*, lecz nie wątpiła, że Kazik i jego towarzysze broni już są na drodze do Polski, jadą pierwsi, a cywile podążą wkrótce za nimi. W międzyczasie mogła się jeszcze pojawić na horyzoncie Afryka, ale to nie psuło nikomu dobrego nastroju, cieszyli się więc widokami pięknych gór ozdobionych czapami śniegu. Zimne noce nie były wszak nocami na Syberii, więc mróz nie był tak dotkliwy. A Kazik był już na pustyni, bliżej Morza Śródziemnego, bliżej *kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba* (C.K. Norwid, „Moja piosenka”). Tęskno też było im wszystkim *jeszcze do rzeczy innej, której już nie wiem, gdzie leży*

mieszkanie, równie niewinnej, lecz nie musieli bać się, że tęsknoty przyjdzie odłożyć na potem. Odległe potem, które jest gdzieś *na wszystkiej ziemi ziem, jak w niebie, gdzie Polską, Rusią, Litwą, Ukrainą, cało-Słowiańskwem wracają do Ciebie jako sztandary, kiedy rozwiną, sny, czucia, pieśni, i myśli, i czyny, do Ciebie, pieśni i czynów przy-czyny* (C.K.N., „Bądź wola Twoja"). Na razie mówili sobie z nadzieją na jutro: *bądź wola Twoja, jak jest między nami, którym już wolno i cało-swobodnie*. Na razie Kazik był „już" na pustyni, a Helena „jeszcze" w pięknych górach Persji.

Helena nie dowiedziała się chyba, jak Kazik „czuł się na pustyni". W następnym liście, którego sama nie opatrzyła datą, ale który adresat otrzymał 14 maja 1943 roku (o czym świadczy jego odręczna notatka u góry pierwszej strony listu) pisze o tym, że od ich wspólnego znajomego, Michała, dowiedziała się o przeniesieniu oddziału, w którym służył Kazik w inne miejsce. List napisała z tego samego obozu pod Teheranem, czyli z „Delegatury MPOS, Obozu Cywilnego nr 1, szałas 15".

> Panie Kaziku! List Pański, za który naprawdę serdecznie dziękujemy, sprawił nam wielką przyjemność. Nie spodziewałam się już od Pana wiadomości gdyż, jak wiedziałam z listu Pana Michała, jest Pan zupełnie gdzie indziej. Ale muszę Pana skarcić. Czemu Pan robi sobie

uszczerbek, przecież wiem, że Wy nie macie tego za dużo. Dziękuję bardzo, ale proszę myśleć o sobie więcej. Może Bóg da, że w Polsce jeszcze się spotkamy, to będę mogła się zrewanżować. Naprawdę tak nieraz myślę o Was, tak się zżyliśmy i tacy jesteście nam bliscy. Gdyby to można było tu Was czym przyjąć, niestety odległość zbyt wielka. A tu inne warunki niż tam były. Można tu dostać czego dusza zapragnie, a tam nie było nic. Szczęśliwi jesteśmy, żeśmy się stamtąd wyrwali. Wspomina Pan o Lidce, Panie Kaziku. Trzeba się z tym pogodzić, że zmieniła ona miejsce pobytu, zmieniła też znajomości i środowisko. Jednak tym nie trzeba się przejmować, to jest życie, Pan jeszcze młody, trzeba być twardym i silnym. Życie wiele uczy, szczególnie dzisiejsze. Panie Kaziku, słyszał Pan pewno o tych, którzy byli w Kozielsku. Proszę sobie wyobrazić, że i mój mąż tam był. Co ja mam o tym myśleć? To jest dopiero los! Ale ja żyję nadzieją, że tak być nie może. Mam nadzieję, ze jeszcze się z mężem zobaczymy. Panie Kaziku, gdy Pan napisze do nas, proszę podać adres do swojej Rodziny w kraju, a ja stąd ich powiadomię o Panu przez Polski Czerwony Krzyż. Sądzę, że list jeszcze mnie tu zastanie, bo tak różnie jest z naszą daleką wycieczką. Kto wie kiedy ona będzie. Proszę też pamiętać, że jestem Helena, a nie Jadwiga, bo nie chcieli mi wydać listu. Serdecznie pozdrowienia i uścisk dłoni od Cioci. Proszę pisać. Dziękuję za wszystko, Helena.

Wiadomości do i od rodzin w kraju nie podróżowały łatwo. Jednak rozmaite wieści krążyły po świecie ogarniętym wojną i niewolą. Rodziny zaczynały się dowiadywać nawet *o tych, którzy byli w Kozielsku*. Nie opłakiwały ich jeszcze, bo wierzyły, iż *tak nie mogło być*. Więc modlili się wspólnie, rodzice, dzieci, żony: *Ty, pod krzyża stojąca boleścią, z ofiarą w sercu… jakbyś wewnętrznej męki potęgami stanęła wyżej śmierci… Matko Bolesna, módl się za nami*. Modlili się, czekali, wzajemnie wspierali i pozdrawiali.

Kazik dostał jednak wkrótce listy od Lidki. W notatniku, pod kolejnym cytatem ze Słowackiego (*Bóg naszych ojców i teraz jest z nami, więc nie dopuści upaść żadnej klęsce, wszak póki był z naszymi ojcami – byli zwycięsce*) napisał: *list z Teheranu otrzymałem 14.V.43, listy z domu 21.V.43, od Wiesi 31.V.43, od Lidki 3.VI, 22.VI i 5.VII. 43.* Pisał do Lidki i Heleny w tym samym dniu, 7 lipca. O jego bezpośrednich kontaktach z krajem świadczy kolejna depesza na blankiecie z niemieckim nadrukiem, instrukcjami i pieczątkami. Treść depeszy została napisana 24 lutego (pieczątka urzędowa jest z 19 marca) 1943 roku.

> Kochany Kaziku! Dotychczas dostaliśmy od Ciebie jedną wiadomość, teraz paczkę, którą bardzośmy się ucieszyli i za która serdecznie dziękujemy. Całujemy Cię serdecznie, razem z Babcią.

List Heleny i depesza od rodziny potwierdzają nie tylko to, że doszły listy Kazika, ale i przekaz pieniężny i paczka. Ze swego żołdu, o którym Helena wiedziała, że *nie ma tego zbyt dużo,* potrafił oszczędzić tyle, że wystarczyło na wspomożenie jednych i drugich bliskich, zarówno tych we Lwowie, jak i tych w Teheranie. Żołnierz-tułacz miał swoje ograniczone potrzeby, ale je ograniczał jeszcze bardziej by pomóc innym, o których domyślał się, że jest im ciężko. Wprawiło to w zakłopotanie Helenę, ale wierzyła wtedy jeszcze nie tylko w to, że się zobaczą po wojnie z mężem, który „był w Kozielsku", ale i w to, że za przekaz jaki dostała *zrewanżuje się w Polsce, kiedy się jeszcze spotkamy*. Wprawdzie wiedziała, że *życie uczy wiele, szczególnie dzisiejsze*, ale dodawała od razu, że *trzeba nieć nadzieję*. Contra spem spero. *Bóg naszych ojców i teraz jest z nami.*

Czternastego lipca 1943 roku Kazik dostał zawiadomienie o kursie strzelania artyleryjskiego dla młodszych oficerów grupy artylerii. Kurs odbył się w lipcu i w sierpniu, jak zanotował w swoim wojennym kalendarzu. Kolejny zachowany list Heleny (listy od Lidki się nie zachowały) nosi datę 29.VII.1943. Pożółkła koperta w miejscu znaczka ma okrągłą pieczątkę z napisem „Poczta Polska 130", a obok data 31.VII.1943. Adres: ppor Kazimierz Czerwiński, Polsih Forces, Persia and Iraq Force, No 571. Adres i cały list napisane są niebieskim atramentem (poprzednie czarnym). Kazimierz zanotował na marginesie listu, że przesyłka dotarła do niego 9.VIII.1943 roku. Tę datę ma też

mniejsza pieczątka na odwrocie koperty „Poczta Polowa 118”. Na dole koperty jest również notatka ołówkiem „written in Polish”.

> Panie Kaziku! Najpierw pozwoli Pan, że mu złożę gratulacje z powodu awansu, który Panu chyba już dawno należał. Następnie chcę tylko tyle na usprawiedliwienie swoje napisać, że list z odpowiedzią na ostatni Pański list wysłałam i jestem mocno zdziwiona, że go Pan nie otrzymał. Z zasady odpisuję zawsze wszystkim, a tym bardziej nie miałabym powodu nie odpisywać Panu. Chciałabym jak najdłużej utrzymać łączność z Wami, kochani. Jak się Pan czuje? Czy wszystko złe minęło? U nas różnie, teraz zamiast trochę odpocząć po pracy bo mamy wakacje, to jestem na izbie chorych na malarię i Nusiek też. Ciężko nieraz, ale cóż robić – trzeba przetrwać. Panie Kazimierzu Kochany, wysłałam list przez PCK do Pańskiej Rodziny, ale ostatnio podano oficjalnie do wiadomości, żeby do kraju listów nie wysyłać, tak pewno i list ten nie dojdzie. Czy Wam bardzo ciepło dokucza? Nam też, ale musimy wytrwać. Wy pierwsi, a my za Wami wracamy do Ojczyzny.

Tak więc Kazik, już po kursie i awansie, mógł wędrować dalej przez Bliski Wschód, z nadzieją, że swoją umiejętność strzelania z armat wreszcie wykorzysta i utoruje drogę do Polski. Utoruje ją

tym wszystkim, którzy w międzyczasie leczyli się w szpitalach polowych, dochodzili do zdrowia by podołać trudom pobytu w innym klimacie i trudom wojennej podróży z wieloma przerwami, z długim oczekiwaniem. Oni, mężczyźni z oddziałów frontowych, „szli pierwsi", a za nimi podążać miały ocalałe z łagrów kobiety i dzieci. I jemu i wszystkim innym dokuczały wprawdzie upały, lecz ożywiała ich nadzieja na to, że fronty się zmieniają, że coraz bliżej tułaczom do ojczyzny. Nie pozwalali, by im brakowało wiary. Może za dużo jej mieli, może nie powinni wierzyć bez zastrzeżeń, na przykład polowej poczcie, ale tak bardzo potrzebowali wiary, że nawet i poczcie wierzyli, chociaż powinni chyba uwzględniać zagrożenie iż jakiś list przepadnie, nie dojdzie. Nie potrafili więc uchronić się przed rozczarowaniem z powodu braku odpowiedzi, w listach pobrzmiewa nuta zdziwienia, a nawet pretensji. Cóż, jeszcze wiara ich miała wielką siłę, a zwątpienia w sens wędrowania i w sens wojowania do siebie nie dopuszczali. Na razie drobne to były rozczarowania, a samo wyjście z niewoli napawało optymizmem. Nawet na łóżku szpitalnym, w malarycznej gorączce, mówili wciąż sobie: musimy przetrwać, bo jesteśmy na drodze do ojczyzny. Ten „wielki zbiorowy obowiązek" przetrwania był przecież zbiorem niewielkich, czasem bardzo dziecinnych obowiązków. Takich, jak uczenie się w szkole, sprzątanie, przygotowywanie posiłków, przyjmowanie lekarstw, czy modlitwa. Aby przetrwać, nie ulec. Nie poddać się choćby lenistwu, czy chorobie. Bo to też wrogowie, tacy jak ci na froncie. Jak i ci, którzy zabijali głodem i

katorżniczą pracą. Nikomu i niczemu nie wolno więc było ulec. Zwłaszcza własnym słabościom. Skarżyć się można było tylko na upał, na klimat, nie na skromne wyżywienie, życie w szałasach. By przetrwać, dotrwać.

List z 24.VII doszedł do Kazimierza 2.IX. Obok okrągłej pieczęci poczty polowej jest też okrągła fioletowym tuszem, cenzora 103 oraz notatka „on active service". Helena dziękuje z kolejną przesyłkę, ale tym razem już nie „karci". Ma tylko wyrzuty sumienia, jest wdzięczna. I pisze: *My tu już po malariach, zdrowi, ale jak długo nie wiadomo*. Mówi też o wakacjach, że się kończą, ale gdzie zacznie się nowy rok szkolny, w jakim obozie uchodźców znajdzie się ich grupa, jeszcze nie wiedzą. *Wygląda na to, że Afryka aktualna, więc prawdopodobnie wybierzemy się na dalsze zwiedzanie świata*. Jednak to nie narzekanie na zmiany pobytu, bo *jak dotąd, te wycieczki nam się dość udają, tak nam przynajmniej piszą ci, co są już w drodze*.

Oni, ci słabsi, też pojadą jak tylko nabiorą sił po chorobach. A dzieci nawet cieszą się perspektywą zwiedzania świata. *My może napiszemy z Ahwazu. Nusiek najwięcej zadowolony z wędrowania. Jeszcze raz dziękuję, życzę zdrowia i powodzenia. Serdeczne uściski od Cioci i dzieci*. I rzeczywiście, kolejny list z datą 10.X.1943 jest już z Ahwazu (Obóz Przejściowy, Blok 3, Obóz B).

> Znów jesteśmy w innym miejscu. Wybraliśmy się w dalszą podróż, ale niedaleko zajechaliśmy. Na razie siedzimy w Ahwazie, kiedy dalej wyjedziemy, nie wiemy. Ciekawam czy ten list podąży za Panem, bo przypuszczam, że jak inni tak i Pan, zmienił już swoje miejsce pobytu. Jak z malarią, bo ta naprawdę potrafi zniszczyć człowieka? Janusz, ten stary malaryk, już leży w szpitalu, nim zmienił powietrze. Zmiana niewiele mu pomogła. Może się wyleczymy, ale w naszym klimacie. Kiedy wreszcie nastąpi ten dzień szczęśliwy, że będziemy mogli wybrać się w drogę do Polski? Niech Pan wierzy, Panie Kaziku, że często jest tak, że nerwy nie wytrzymują, tylko jedyna nadzieja, że kiedyś może będzie inaczej trzyma przy życiu. Życie jest nieraz straszne! A może to tylko ludzie są tacy – nie wiem – wszystko jedno – dobrze byłoby już wrócić do swego, do swoich i żyć życiem trochę naturalnym. No ale dość, to taki mój nastrój dzisiejszy.

W Karachi poprawił się nastrój Helenie. Wierzyła, ze to przedostatnia przystań w ich podróży do „miejsca przetrwania”. Dwudziestego czwartego lutego podała Kazikowi taki adres: Country Club, Polish Refugee Camp.

> Panie Kaziku! Już długo nie pisałam do Pana, gdyż miałyśmy zmieniać miejsce pobytu. Jesteśmy teraz gdzie indziej.

> Ostatni list od Pana otrzymałam jeszcze w Awhazie. To przedostatnia przystań naszej podróży. Stąd już będzie niedaleko do miejsca, w którym mamy przetrwać wojnę. Nie wiem też czy i ten list Pana zastanie, ale piszę na wszelki wypadek. Jeśli Pan go otrzyma, proszę pisać do nas na podany adres. Jeśli my zmienimy miejsce, też napiszemy. Ciekawam jak się Pan czuje? Nam jest tu bardzo dobrze. Na razie na nic nie możemy narzekać, chyba tylko na to, że nam trochę pada z góry, ale to przechodzi i znowu pogoda. Wyżywienie świetne, a owoców tu moc, takich jak banany, pomarańcze itp., więc nasza dzieciarnia nic już nie potrzebuje. Jeśli chodzi o materiały na ubrania, to można dostać do wyboru i koloru i w dość niskiej cenie. Gdyby nam tak było do końca wojny, to nie trzeba nam nic więcej. Ja jak zwykle pracuję no i parę rupii zawsze jest. Dzieciarnia się uczy i zdrowo bryka. Zosia już w drugiej klasie, a Janusz w szóstej powszechnej. Wiele serdeczności…

Przez kilka miesięcy wiosennych nie było odpowiedzi od Kazika na ten list, chociaż Helena wciąż była z dziećmi w Karachi. Jedenastego sierpnia skarży się na milczenie Kazika.

> Dziwię się bardzo, co się właściwie stało, że Pan tak milczy. Pisałam już stąd równocześnie do Pana Michała i od Niego otrzymałam odpowiedź, a od Pana nie. Niepokoi mię to

> trochę. Może zwyczajnie list nie doszedł, ten może Pan otrzyma, jeśli tak, to proszę zaraz odpisać. Jak się Pan, Panie Kaziku, czuje? My starym zwyczajem. Pracujemy, dzień schodzi nam szybko, miesiące mijają, tylko jedno co gorsze, to, że nie możemy doczekać wyjazdu do domu. Tak za tym już tęsknimy. Starczyłoby już nam tej tułaczki. Chce się już być ze swoimi blisko, a tak nic nie wiemy o nich, tak jak oni o nas nic nie wiedzą. Wprawdzie Indie mają wiele uroku, ale dziś na to patrzymy innymi oczyma. Na razie siedzimy w Karachi, może za jakiś czas zmienimy miejsce pobytu, ale w każdym razie w Indiach zostaniemy, więc prosimy pisać. Dzieciaki rosną, Janusz już duży chłopiec, a Zosię też nie wiem czy by Pan poznał.

Następny list (5.X.1944) jest już z „ostatniego etapu tułaczki”, z Valivade (Polish Refugee Camp, Kolhapur, Valivade, India, blok 159 I). Do listu dołączone jest małe zdjęcie Heleny z ciotką i dwójką dzieci, Zosią i Januszem. Janusz wciąż jeszcze jest wychudzony, może trochę z tego powodu, że sporo urósł, jest prawie tego samego wzrostu co matka i ciotka. Cała czwórka sfotografowana została na tle niewysokiej palmy i budynku z mocnymi kolumnami wspierającymi dach rzucający głęboki cień na prawie całą południową ścianę. Jednak nie jest to zdjęcie z Indii, ale z Awhazu, o czym informuje napis na odwrocie: *Persja, Ahwaz, 22.X. 1943, Panu Kazikowi dla wspomnienia, Hela z*

rodziną.

Jednak 5. X. 1944 roku może napisać z Valivade coś innego. *Ucieszyłam się szczerze Pańskim listem, gdyż wiele myśli nieraz ogarnia człowieka, bo wiem gdzie teraz jesteście i co robicie.* Helena wie o desancie morskim pod Anzio (15 – 18 lutego i 15 – 25 marca 1944), o bitwie pod Monte Casino. Drugi Korpus Polski, w którym służył Kazik, staczał ciężkie bitwy, ponosił duże straty, było się o co niepokoić. Od losów tych polskich oddziałów zależał w dużym stopniu los wszystkich polskich uchodźców z Syberii. Życie, które polscy żołnierze narażali i oddawali na Półwyspie Apenińskim, poświęcali i dla nich, polskich kobiet i dzieci rozsianych po świecie. Z tego wszyscy zdawali sobie sprawę. W kalendarzyku Kazika z 1943 roku jest i modlitwa o Zwycięstwo Chocimskie:

> Bądź pozdrowiona, Panno, Matko Boga, Ciebie wzywamy, wspomóż zwalczyć wroga, ocal nam Polskę w tym srogim frasunku, niechaj znów dozna Twojego ratunku, przyczyń się Panno, niech z Twojej obrony zbawienie będzie dla Polskiej Korony.

A fundator ojców Marianów, Stanisław a Jesu Maria Papczyński, dodał taki komentarz:

> Gaście pożary czyśćcowe, bo oto tam, w płomiennej otchłani goreją ojcowie i matki nasze, bracia i siostry, przyjaciele wasi, obrońcy ukochanej Ojczyzny.

Zalęknionym o losy żołnierzy tłumaczył też Słowacki:

> Bo kto zaufał Chrystusowi Panu i szedł na święte kraju werbowanie, ten de profundis z ciemnego kurhanu na trąby stanie.

O tych, którzy walczyli i którzy polegli za sprawę Ojczyzny mówił:

> Ze skowronkami wstaliśmy do pracy i spać pójdziemy o wieczornej zorzy, ale w grobowcach my jeszcze żołdacy i hufiec Boży.

Podobne modlitwy i podobne myśli mieli wszyscy rodacy.

> Dobrze, że Pan napisał, przynajmniej ucieszyłam się i zaspokoiłam co do Pana. Panie Kaziku, niech Pan źle nie

myśli o prawdziwych przyjaciołach. Nikogo poza Panem i Panem Michałem nie mamy w wojsku, los Wasz jest nam tak drogi, jak chyba dla Was samych. Czytamy w gazetach, słuchamy radia – wiemy ile dajecie z siebie. Wy nam torujecie drogę, czyż Was nie kochać za to, czyż nie zasługujecie od nas przynajmniej na pamięć, bo cóż innego Wam dać możemy – modlitwy i pamięć. Panie Kaziku, jedna prośba, jeśli Pan czasu nie ma, niech Pan nie pisze, ale jeśli znajdzie Pan wolną chwilę, choć parę słów o sobie proszę przesłać, proszę dać znać, że Pan żyje i jest zdrów, bo to dziś najważniejsze. Przepraszam z góry za niedyskrecję, ale jak tam z sercowymi sprawami – myślę, że te powinny być w najlepszym porządku, przecież do Was młodych świat należy! A teraz coś o sobie. Otóż, jak z adresu Pan się zorientuje, jesteśmy znów gdzie indziej. Jest to już ostatni etap naszej tułaczki. Tu mamy przetrwać czas aż do powrotu do Polski. Nie jest to już obóz. Jest to osiedle, powiedzmy małe miasteczko. Nie odczuwamy tu wojny wcale. Mamy wszystko, jeśli chodzi o żywność i ubranie. Osiedle pięknie położone w górach, mniej więcej na wysokości naszego Zakopanego. Klimat nawet możliwy, jak na Indie.

Mieszkania mamy rodzinami. Każdy dla siebie, nie tak jak w szałasach. Ja na swoją rodzinkę mam dwa pokoiki i kuchenkę. No i skromne, ale niezbędne umeblowanie. Kuchnię prowadzi Ciocia, gotuje i pitrasi. Na wyżywienie

> otrzymujemy gotówkę i za to wszystko kupujemy, o wiele lepsze to życie niźli życie wspólne z kotła, tak jak było w obozach. Ludzie, którzy tu dawniej przebyli, czują się doskonale i świetnie wyglądają. I my mamy nadzieję, że się też poprawimy, jak tu dłużej pobędziemy. Ja na razie nie pracuję, zaczniemy po przerwie, która tu będzie przez październik, gdyż w tym miesiącu mają być jeszcze upały. Mamy też na miejscu kościół, świetlicę, salę teatralną, kino, no i kto co chce. Do miasteczka Kolhapur jest blisko i można jeździć, tylko muszę Panu dodać, ze wszyscy leżymy na malarię, ale co najgorsze minęło, a potem będzie dobrze, tym proszę się nie przejmujemy wiele. Przepraszam, że tak się rozpisałam, ale chcę się z Panem podzielić wiadomościami, by Pan wiedział, że jest nam dobrze. Mocny i przyjacielski uścisk dłoni. Przesyłam zdjęcie amatorskie, ale jeszcze z Ahwazu, może sobie Pan nas przypomni.

List był napisany na gładkim, niebieskim papierze w linie. Koperta też byłą porządniejsza niż do tej pory, w kolorze różowym, z nadrukowanym fioletowym znaczkiem o wartości 8-as, z podobizną Króla Jerzego I i napisem: India Postage. Nadruk niebieskim tuszem: „For correspondence to H. M. Forces only; weight not to exceed half an ounce (do korespondencji wojsk J.M., waga poniżej pół uncji); Rank: p.por; Name: Czerwiński Kazimierz; Company, section, etc: C.M.F. Unit or appointment:

Polish Forces No. 571, c/o base air post depot, Karachi (stopień, kompania, oddział, itd… oddział lub przeznaczenie: Polskie Oddziały nr 571, przez pocztę lotniczą bazy w Karaczi). Znaczek był ostemplowany, z datą 6 października 1944 roku. Obok okrągłą pieczęć i nadruk: by air mail, par avion. U dołu koperty odręczna notatka: written in Polish (napisano po polsku). Na odwrocie jeszcze dwie okrągłe pieczątki: Base Office i druga nieczytelna oraz biała nalepka: Opened by Examiner (otwarte przez inspektora).

Nadeszła zima. Sytuacja na frontach Drugiej Wojny Światowej stawała się coraz pomyślniejsza dla Aliantów. W listopadzie Helena składa Kazikowi życzenia świąteczne, życzy „spełnienia marzeń”. Do listu z 17.XI. doszyte zostało biało-niebieskie serduszko wypełnione opłatkiem. Opłatek jest dziś pokruszony, jego cząstki szeleszczą pod palcami, ale materiał nie zmienił koloru, jest nadal mocny, tak samo jak nitka oplatająca serce. Dwa kawałki jasnego materiału wycięła Zosia w kształt serca i zszyła je niebieskimi nitką, grubą nitką.

> Łamiąc się opłatkiem w gronie najbliższych, myślami jesteśmy z Wami. Łamiemy się opłatkiem i życzymy sobie wspólnie by nasze marzenia zostały zrealizowane jak najprędzej. Życzymy w pierwszym rzędzie zdrowia i szczęśliwego powrotu do Ojczyzny, do najbliższych. Oby od

> tego Nowego Roku wszystko zmieniło się na nowe i dobre! Co u Pana słychać, bo u nas po dawnemu. Żyjemy nadzieją, że się wszystko wnet zmieni i będzie dobrze. Wiele serdecznych pozdrowień śle Hela z Ciocią i dziećmi.

Wierzyli, że armia Polska podąża „z ziemi Włoskiej do Polski”.

Podczas i po bitwach na Półwyspie Apenińskim nie tylko Helena z Valivade martwiła się o los podporucznika Czerwińskiego. Martwiła się też rodzina we Lwowie. Aby zapobiec dalszym zmartwieniom, Kazik wysłał 13 lutego i 21 marca dwie depesze przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Podał taki adres: ulica (rue, street, via) Sh. El Aziz Osman, miejsce, locality, localita) Cairo – Zamalek, kraj (pays, country, paese) Egypt. Wiadomość zawierać miała nie więcej niż dwadzieścia pięć słów.

> Jestem zdrów, dziękuję za pozdrowienia i ucałowania. Mam dużo szczęścia i wiele powodzenia. Serdecznie wszystkich pozdrawiam i mocno całuję.

Depesza wędrowała do Lwowa przez Genewę i Berlin. Obok cenzora egipskiego, swoje pieczątki odbili urzędnicy Czerwonego Krzyża w Kairze, Genewie i Berlinie. Kazik otrzymał odpowiedź dopisaną na obydwie depesze.

> Kochany Kaziuniu! Jesteśmy wszyscy zdrowi. Tobie życzymy dużo szczęścia i zdrowia. Dałby Bóg żebyśmy się wszyscy zobaczyli. Całujemy Cię serdecznie i mocno, najwięcej Babcia (odpisano we Lwowie 17 czerwca i 3 lipca 1944 roku).

Korespondencja do okupowanej Polski docierała z większymi trudnościami niż z Valivade do miejsc postoju Drugiego Korpusu. Aby się upewnić, że Kazik otrzymuje wiadomości ze Lwowa, oprócz odpowiedzi na odwrocie depesz Kazika, rodzina wysłała własną depeszę 13 lipca 1944 roku, z tą sama treścią. Szła ona tez długo przez ręce urzędników, ostatni z nich użył swojej pieczęci z czerwonym tuszem 12 września. W listopadzie poczta polowa na Bliskim Wschodzie przeadresowała kopertę na Wyspy Brytyjskie. Polski urzędnik wojskowy dopisał na kopercie: „ubył do Anglii". W międzyczasie Delegatura Polskiego Czerwonego Krzyża starała się pomóc swoimi sposobami. Pod koniec lipca wysłano z Kairu na adres „Polish Forces CMF 570" wiadomość o poszukiwaniu podporucznika Kazimierza Czerwińskiego przez rodzinę.

> Otrzymaliśmy list dla Pana Kazimierza Czerwińskiego od Antoniny Seidel, Lwów, Mączyńskiego 21. „Dowiadujemy się o Twoim zdrowiu i powiedzeniu. Bardzo się tem martwię, że

> nie dajesz o sobie znać. My jesteśmy wszyscy zdrowi. Pa, Kaziuniu, Babcia”. Prosimy o zawiadomienie czy list ten dotyczy Pana celem ewentualnego przesłania go na Pana adres.

Przez następnych kilka miesięcy Kazik nie odpisywał na list świąteczny Heleny lub listy nie docierały do Indii. Helena znów się martwi. W liście z 21 kwietnia 1945 roku pisze o tym, powołując się na korespondencję z Panem Michałem, od którego dostała odpowiedź.

> Panie Kaziku! Nie wiem sama co mam myśleć o tym. Ostatni list pisałam do Pana po przyjeździe na nowe miejsce pobytu, w którym mieliśmy przetrwać do końca wojny. Od wysłania listu do Pana upływa już kilka miesięcy, bo wysłałam go stąd w październiku ubiegłego roku. Pisałam w tym czasie do Pana Michała, od którego otrzymałam już odpowiedź. Ale co się stało z Panem? Tego nie mogę sobie wytłumaczyć. Niech Pan zechce zrozumieć, że myślimy o Was, jak o kimś bliskim, bo nic nas nie wiązało, a jednak byliście nam tak bliscy. Dziś los Pański obchodzi nas jakby Pan był z naszej bliskiej rodziny. A wiemy i zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, w jakich Pan teraz żyje warunkach i na co jest narażony. Janusz często mi przypomina, żeby napisać jeszcze raz do Pana, boi się czy aby się coś złego nie stało. Ale bądźmy szczerzy,

> Panie Kaziku. Jeśli może Pan sobie nie życzy utrzymywać dalszej korespondencji z nami, to nie będzie mnie to wcale dziwiło, jeśli Pan otwarcie do tego się przyzna, a my tutaj będziemy przynajmniej spokojni o Pański los.
>
> Może wprost Pan nie ma czasu na pisanie listów. Cokolwiek będzie powodem Pańskiego milczenia, na wszystko się zgodzę, byle tylko było szczere. Przepraszam za tę natarczywość z naszej strony, ale niech wiem przynajmniej co się z Panem dzieje. Zasyłam wiele serdeczności.

W sierpniu nadszedł jednak do Valivade długo oczekiwany list od Kazika. Na ten i kolejny, z lutego, odpowiada Helena 25 lutego 1946 roku.

> Za list z sierpnia i ostatni z 28 lutego bardzo dziękuję. Dlaczego na poprzedni list nie odpisałam, bo, Panie Kaziku, nie chciałam się już narzucać swoją korespondencją. Jakiś czas była ona przerwana miedzy nami, ale jeśli Pan sobie życzy, możemy nadal pamiętać o sobie. Naprawdę gdy szły boje, niepokoiliśmy się często o Was, o Pana i o Pana Michała. Z Panem Michałem utrzymujemy nadal korespondencję. Czy Panowie piszą do siebie? Przy okazji podaję Panu jego numer, może Pan nie ma adresu? M.S. Polish Forces, 309. Panie Kaziku, czasy teraz okropne. My

też czekamy na coś, co może zmieni sytuację na świecie, a tym samym dla nas. Bo przecież nie można się z tym pogodzić, żeby tak miało pozostać! To już przecież nie idzie tylko o nas Polaków, ale cała Europa jak wygląda? Tak być nie może! U nas teraz mówi się o zmianach. Ma nas wziąć w swoją opiekę U.N.R. Jak to będzie wyglądać, tego dziś nie wiem, ale mamy dostawać tylko na utrzymanie, a za pracę już nie ma być żadnych wynagrodzeń. Jedno tylko co nas wszystkich przeraża, to, żeby U.N.Ra nie wywiozła nas tam, gdzie nie chcemy jechać. Bo mają nas stąd rozesłać, ale gdzie, dotąd nie wiadomo. Byle tylko nie do Polski, do takiej jaka teraz jest.

Co do Armii, to raz słyszymy o demobilizacji, to znowu co innego, tak, że nie wiadomo w końcu co z naszym wojskiem będzie. A ono jest naszą jedyną nadzieją, bo dopóki jest nasza armia, to zdaje się, że i my jeszcze mamy jakieś znaczenie w świecie. A jeśli miałaby nastąpić demobilizacja, to co byłoby wtenczas z nami? Ale jakoś miejmy nadzieję, ze wszystko obróci się na dobre! Jak Pan się czuje, Panie Kaziku? Jak Pan ze zdrowiem, bo to najważniejsze. Przypuszczam, że w Szkocji chyba klimat odpowiedni? Ale co Pan pisze o rodzinie W. Wilczkiewicza, to chyba zwyczajna plotka, bo dowiedziałam się, że jest on z rodziną w Afryce. Gdy wyjeżdżałam z Teheranu z pierwszego obozu, on jeszcze tam został. Podaje Panu jego adres: Polish Red Cross, P.O.

> Box 1882, Nairobi. Oni są w Makindu. Proszę napisać do Nairobi, a zaznaczyć, że są w Makindu. Nie wiem czy poznałby Pan teraz Zosię. Janusz już mnie przerósł, a ona dopędza. Lata idą, dzieci rosną, a człek się starzeje. Serdecznie pozdrawiam.

Radosne westchnienia z poprzednich listów „oby do Ojczyzny” zmieniły się na bolesne westchnienie „byle tylko nie do takiej Polski jak teraz”. Zdrada sprzymierzeńców, bezwzględność nowego najeźdźcy, którego oni, Sybiracy, już przecież dobrze znali, musiały powodować wielki ból. Z bólem powtarzać mogli tylko za Norwidem jego „Pieśń do ziemi naszej”. Do ziemi, gdzie znów *świeci szubienica*. I gdzie *jest mój środek, moja stolica… trąd jad i brud*. To od Wschodu: *mądrość-kłamstwa i ciemnota, karności harap lub samotrzask z złota*. A na Zachód? *Kłamstwo-wiedzy i błyskotność, formalizm prawdy – wnętrzna bez-istotność, a pycha pych!* Czy więc mam czekać cię, *Zachodzie – ty…!, ja głupi Słowianin?* Tobie, Wschodzie *znaczę dzień widzenia, gdy już nie będzie sumienia w ogromni twej*. Południe! *Klaszczesz mi*, pomagasz cieszyć się, więc klaszczę tobie, twemu ciepłu i pięknu. Przyklaskujmy, póki możemy. *A ciebie minę, o głucha Północy, i wstanę sam. Braterstwo ludom dam, gdy łzy osuszę, bo wiem, co własność ma – co ścierpieć muszę; bo już cię znam*. Już was znam, Rosjanie i Niemcy! A zwłaszcza Rosjanie: *biorący dziejów ludzkich poważną księgę jak tabuna grzywę…*

Wy, to duża kolonia holenderska, której się Oryginalność śni, z dołu w meszty ubrana z Perska, Niemców mózg, pot – Słowian, misja – krwi… ależ Wy?! Nie Ruś wy – wy – Germany! Tak pisał Norwid „Do publicystów Moskwy”. Ból Norwida, gdy pisał te strofy, pomieszał się z bólem wielu tysięcy Polaków, którzy je czytali i wciąż na nowo odczytują. Tych, którzy poznali Syberię z książek i tych, którzy sami jej doświadczyli. „Pisałem oktobra 1868 roku w Paryżu”, odnotował Norwid pod swym wierszem do moskiewskich publicystów. Helena i Kazik mogli powtórzyć te same słowa pisząc do siebie w 1946 roku.

W bardzo zniszczonej, pozbawionej znaczka kopercie znajduje się list Heleny z 8 maja 1946 roku zaadresowany do porucznika Kazimierza Czerwińskiego, P. O. Box 260/15 (skreślono 15, dopisano 95), G.P.O. London EC 1.

> List polecony z 21 maja otrzymałam, bardzo Panu dziękuje. Widzę, że Pan się przejmuje moimi listami i chce Pan nam przyjść z pomocą. Ale niech Pan mi wierzy, że nieraz człowiek nie chciałby pisać tego wszystkiego co w tej chwili czuje, by nie zatruwać drugim też nieraz niewesołego, bo na obcej ziemi, życia. Ale cóż robić, nieraz taki nastrój ogarnie człowieka, a jak się przed kimś wywnętrzy, to zdaje mu się, że lżej się robi na sercu. Ale proszę tym się nie przejmować i sobie uszczerbku nie robić, bo jak wygląda życie teraz

choćby w takiej Szkocji czy Anglii, to sobie można łatwo wyobrazić. Teraz na pewno spodziewacie się jeszcze więcej gości, bo jak głoszą, wojsko z Włoch ma być przerzucone do Anglii. Wyobrażam sobie jak to będzie tam dobrze. A co dalej – tego na razie nie wiadomo. Co z nami cywilami będzie to Bóg jeden raczy wiedzieć. Może pojedziecie (to znaczy wojsko) do Ameryki, a my… ale co się tu martwić, kiedy nic z tego nie wyjdzie.

Panie Kaziku, ucieszyliśmy się bardzo Pańskim zdjęciem, musze dodać, że wygląda Pan bardzo poważnie, ale wcale nie źle. Nie mam na myśli „powagi" z racji wieku, bo tak źle na pewno nie jest. Zośka nie może sobie Pana przypomnieć, przecież to było jeszcze małe dziecko, a dziś ona już ma pretensje do „panny" choć jeszcze nie skończyła 10 lat. Acha, p. Lidka wyszła za mąż, jest we Włoszech. Przypuszczam, że to Pana dziś nie bardzo wzrusza, bo chyba wiele się zmieniło, ale, przepraszam za żart, niech Pan Szkotki nie uszczęśliwia, bo one nie warte tego, a naszych panienek tyle czeka na koniec wojny. Za ten żart nie wolno się obrażać na mnie. Od Zośki i Cioci ucałowania, od dużego Janusza cześć.

Na zdjęciu z wojskowej legitymacji Kazik wygląda rzeczywiście „poważnie". Na twarzy nie ma śladu uśmiechu. Może przejścia

wojenne ostatnich miesięcy, może trochę też rozczarowania osobiste, może inne jeszcze powody wpłynęły na to, że patrzy teraz wzrokiem surowym, silnym. Nie wiem czego mógł dotyczyć dopisek Heleny z kolejnego listu: *jak widzę, niezbyt dobrze się Pan czuje*. Kiedy przez trzy lata przemieszkiwałem z nim pod jednym dachem w Chicago pod koniec lat siedemdziesiątych, nie skarżył się na żadną chroniczną dolegliwość wyniesioną z wojska. Nie wykluczone jednak, że coś umknęło mojej uwagi. Na fotografii zrobionej na ulicy jakiegoś dużego brytyjskiego miasta uśmiecha się wprawdzie, ale nie jest to uśmiech tak radosny jak idącego obok szkolnego kolegi ze Lwowa, Zbyszka Nowotnego.

Za list i przesłane w nim życzenia serdecznie dziękuję, napisała Helena 14.V.1946 roku.

> Jak widzę z listu, niezbyt dobrze się Pan czuje. Nie wiem tylko dlaczego Pan się dostał do Szkocji? Bo jak się orientuję, to tylko jechali tam z Włoch Ci, którzy byli ranni, ale może się mylę. Panie Kaziku, co dalej będzie z nami, Polakami? Naprawdę sytuacja w tej chwili jest beznadziejna. Jeśli jakaś wojenka nowa nie wykroi się to będzie wszystko na nic. Choć z drugiej strony, gdy pomyślimy o tym ostatecznym naszym wyjściu, tj. o walce zbrojnej, to aż żal, że ta garstka żołnierzy, która pozostała przy życiu miałaby jeszcze złożyć wielką ofiarę, ale zdaje się, że to ostateczność, która może

nam dać wolność i kraj. Naprawdę już tak tęskno do Ojczyzny, ta tułaczka już się uprzykrzyła i co gorsza nie widać wcale jakiegoś dobrego końca. Ten klimat, warunki życia zdaje się coraz to gorsze, już człowiekowi nerwy odmawiają posłuszeństwa.

Dziś zdaje się biegłby człowiek do Polski, ale cóż, do tej teraz nam nie wolno, bo jesteśmy wojsko, emigracja. Czy to nie ironia losu? U nas od czerwca będą duże zmiany. Obejmuj nas U.N.Ra. Przeważnie dotyczą te zmiany pracujących. Teraz tutaj dzielimy się na pracujących i niepracujących, ci ostatni nic nie tracą, zasiłek żywnościowy pozostanie ten sam. Natomiast nam, pracującym, odliczają za pracę, głupstwo – parę rupii na wydatki, ale jakie? Zresztą są ludzie, którzy gorzej mają, jak ci w Polsce, czy pozostali w Rosji. Tak trzeba myśleć, a będzie łatwiej przeżyć. Najważniejsze, że z głodu na pewno nie umrzemy, o resztę nie ma się czego martwić. Czy wiecie już może co Anglicy mają zamiar zrobić z Polakami? Widocznie jest to dość trudny orzech do zgryzienia. Nie tak widocznie łatwo puścić ludzi na pastwę losu, a może jeszcze liczą na to, że wojsko nasze przyda się na coś. Zdaje się, że Anglicy i Amerykanie nie wierzą w pokój, póki Stalin dyktuje warunki. Może doczekamy tej chwili gdy oni znikną z powierzchni świata – byle tylko jak najszybciej to nastąpiło. Ale trzeba, Panie Kaziku, być dobrej myśli i wszystko będzie dobrze. Ma Pan

> może jakieś wiadomości z Polski o rodzinie? Życzę serdecznie przetrwania, od dzieciaków i Cioci uściski.

A więc zostały tylko życzenia przetrwania. Nie powrotu do ojczyzny, nie radości z ujrzenia bliskich. *Jeśli mi Polska ma być archaiczną lub socjalizmu rozwinąć pytanie, to już ja wolę tę panslawistyczną, co pod Moskalem na wieki zostanie*, drwił Norwid w 1850 roku. Zapewne nie sądził, że i tę drwinę „rozwiną" zarówno obcy jak i rodacy. Jak i nie sądził, zwracając się „Do Moskali-Słowian" w wierszu przypisanym „braciom Warszawianom w upominku", że mówi jak *mąż szczery: grzech, póki nie wyjawion – mocny*. Mówi nie tylko o Katyniu, ale i Warszawie. Nie tylko o stolicy pełnej więzionych i torturowanych, ale i pełnej gruzów, po nieudanym, a sprowokowanym, jakby na okrutną drwinę, powstaniu warszawskim.

> Moskale bracia! Co w was jest szatanem, tegośmy na chrzcie polskim się wyrzekli, tego już wasza moc w nas nie rozwściekli; dał Bóg, że widmem to i odpoznanem; dał Bóg, i po to w świat my się rozwlekli… ale co pychą jego, to was trzyma, jak zabitego kolano olbrzyma, w miedź rudą zbroi zakowane trwalej; jak wielki odłam w drzwi zwalonej skały trzęsieniem ziemi o dobie północnej; jak grzech, co póki nie w y j a w i o n – m o c n y!

List z maja, to ostatni list z Valivade, jaki odnalazłem wśród rzeczy Kazika. Inne są z Polski, z późniejszych lat i nie dotyczą losów zesłańców syberyjskich. Kazik został zdemobilizowany w 1947 roku. Z listopada 1946 roku pochodzi karta nr A 24092 zezwalająca porucznikowi Kazimierzowi Czerwińskiemu na pobyt w Londynie. Instrukcja dla zdemobilizowanych lub przeniesionych do rezerwy obowiązująca w Wielkiej Brytanii, Północnej Irlandii i na Isle of Man ma odręcznie naniesioną datę: 20 czerwca 1947 roku. Z 7 czerwca 1948 roku jest karta PCK informująca o przyjęciu do Polskiego Czerwonego Krzyża porucznika Kazimierza Tadeusza Czerwnińskiego. W 1951 roku został wydany przez Brytyjskie Ministerstwo Obrony dokument zaświadczający o służbie wojskowej i przyznanych odznaczeniach. Są w nim podane informacje o służbie w polskich siłach zbrojnych pod brytyjskim dowództwem, od 1 kwietnia 1942 na Bliskim Wschodzie do 19 czerwca 1947 roku.

> Brał udział w kampanii wrześniowej w Poslce, deportowany do Rosji, potem w Armii Polskiej w Rosji, od 9 września 1941 roku do 31 marca 1942 roku.

Medale polskie to Krzyż Walecznych, Krzyż Monte Casino; medale brytyjskie to Gwiazda Wojenna 1939-1945, Gwiazda Włoska, Medal Wojenny za lata 1939-1945, Medal Obrony. Honorowe zwolnienie ze służby nastąpiło 19 czerwca 1949 roku,

a od 1 kwietnia 1947 roku Kazik pobierał pieniądze z listy dla bezrobotnych. W 1951 roku został rezydentem, a potem obywatelem amerykańskim. Listy od rodziny z Polski były kierowane w 1947 roku na adres: Polish Board of Tefchnical Studies, Chemistry Department, 4, Warwick Square, Victoria, London SW1, Great Britain. Indeks represjonowanych w ZSRR opublikowany przez Ośrodek Karta wymienia Kazimierza Czerwińskiego, syna Marii i Karola, urodzonego we Lwowie w 1916 roku w kategorii „jeńcy wojenni". Areszt od 19.IX.1939 w Stanisławowie, przebywał w obozie w Krzywym Rogu na Ukrainie, potem, od 29.VI.1940 w Komi RA, Siewżełdołag, potem w Juży, Obłast Iwanowska, u Andersa od 2.IX. 1941 roku (Buzułuk). Kazik pracował w Stanach jako chemik w dużym laboratorium aż do przejścia na emeryturę. Nawiązał kontakty ze znajomymi w Polsce po roku 1956. Kilka razy był w kraju. Korespondował z narzeczonymi w Anglii, Stanach i w Polsce, ale nigdy się nie ożenił. Zmarł 5.X.1996 roku w Chicago i został pochowany na cmentarzu Maryhill, grób nr 14, blok 21, sekcja 5.

Pudła z ocalałym skromnym dobytkiem zostały dostarczone do Wrocławia na prośbę mego ojca. Nikt z jego rodziny wówczas już nie żył. Mój ojciec przyjaźnił się z Kazimierzem od 1926 roku, kiedy rodzina Sawickich przeniosła się z Kopyczyniec do Lwowa. Zbyszek Sawicki zmienił wtedy szkołę Powszechną w Kopyczyńcach na lwowską im. Marii Magdaleny. Chodzili do tej samej klasy. Kazik wspomina o pojawieniu się Zbyszka w szkole

w ten sposób.

> Był luty, zimowa pogoda. W ławce zasiadł ktoś nowy, w dziwnym dziecięcym ubranku. Mało mówi, rozgląda się tylko jakby się obawiał czegoś lub kogoś. Gdy pani profesor przedstawiła go klasie, poczuł się normalnym uczniem.

W Jedenastym Państwowym Gimnazjum przy ulicy Szymonowiczów, przez osiem lat aż do matury przyjaźnili się, wracali razem do domu. Była ich mała, zżyta grupa: Zbyszek Nowotny, który oddzielał się w drodze powrotnej już przy ulicy Listopada (mieszkał koło sanatorium „Wisła"), Zygmunt Hoszowski kierował się na ulicę Świętej Teresy nr 3, a Kazik Czerwiński wchodził w ulicę Murarską, Zbyszek Sawicki szedł zaś jeszcze dalej, do budynku nr 37 przy ulicy Nabielaka.

Kazik miał smutne lata młodzieńcze. Wychowywali go dziadkowie i wujostwo. Ojciec wpadał czasem w odwiedziny. Miał trudną pracę w policyjnym wydziale politycznym. O matce Kazik nigdy nic nie mówił. Zmarła prawdopodobnie w dniu jego urodzin. Czasem ze smutkiem w głosie zwierzał się kolegom, że zazdrości im domu, rodziców i rodzeństwa. Powiadał wówczas, że rodzina to *najdroższy skarb od Boga, którego trzeba strzec i pamiętać by go nie stracić*. Był koleżeński, dokładny, a nawet drobiazgowy. Dbał o czystość i elegancję. Interesował się żywo

koleżankami, ale wyznawał żelazną zasadę, że wszystko w życiu powinno toczyć się bardzo wolno, a postępować należy z niezwykłą rozwagą.

Spisane w maju i czerwcu 2004 roku



Fot. Stefan Hoffmann, Pixabay

Powrót z niepamięci

Rozmowa z dr Bogumiłą Żongołłowicz, pisarką, dziennikarką, dokumentalistką i

biografką polskiego pisarza z Australii, Andrzeja Chciuka.



Bogumiła Żongołłowicz, Queensland State Archives, Brisbane, maj 2022, fot. ze zbiorów B. Żongołłowicz

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*:

W 2021 roku w Oficynie Wydawniczej Kucharski w Toruniu wyszła biografia „Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów” Pani autorstwa. To drugie, poszerzone i uzupełnione wydanie książki, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie w 1999 roku. Niektórzy pisarze po napisaniu książki zamykają temat, z Panią Andrzej Chciuk cały czas jest. Jak Pani myśli, dlaczego?

Bogumiła Żongołłowicz *(Melbourne, Australia)*:

Ponieważ stale przybywa mi materiałów na jego temat. Po niedawnym pobycie u wdowy po pisarzu w Queensland mogłabym z miejsca przystąpić do pisania trzeciego wydania jego biografii. Barbara Soddell przekazała mi kolejną porcję, tym razem bardzo prywatnych materiałów, uznając, że już przyszedł na to czas.

Co Panią w nim najbardziej fascynuje?

To nie jest sprawa fascynacji, a potrzeba, a nawet konieczność-powinność-obowiązek przekazywania przyszłości dorobku kulturowego Polonii australijskiej.

Rodzina Andrzeja Chciuka nazywa Panią „doktorem chciukologii". Ma do Pani pełne zaufanie, przekazuje archiwalia, wiedząc, że zostaną wykorzystane w jak najlepszy sposób. Czy było coś w tych dokumentach, co Panią zaskoczyło?

Trudno mówić o zaskoczeniu, kiedy praca nad biografią to poznawanie – krok po kroku – swojego bohatera. Było mi natomiast bardzo przyjemnie, kiedy z USA przyszło „Wrześniowe niebo" – debiut poetycki Andrzeja Chciuka – pisane „sobie na ukojenie w chwilach tęsknoty i chandry" w pierwszej połowie lat czterdziestych we Francji. Autor przekazał maszynopis przez przyjaciela rodzeństwu przebywającemu wówczas w Anglii.

Chciał, aby jego „wypocinki” dotarły w jakiś sposób do matki na wypadek, gdyby nie wrócił do domu. Tymczasem pół wieku później podarowano teczkę z wierszami mnie. Mogłam stwierdzić, że część zawartych we „Wrześniowym niebie” utworów ukazało się w prasie emigracyjnej, ale poetycki książkowy debiut Chciuka nastąpił dopiero w 1962 roku i nosił tytuł „Pamiętnik poetycki”. Była to pierwsza książka wydana w języku polskim na antypodach.

Wiem, że odwiedziła Pani miejsca związane z pisarzem od Drohobycza na Ukrainie, w którym się urodził, po Melbourne w Australii, gdzie zmarł. Czy znalazła Pani to, czego szukała?

Nie powiedziałabym, że szukałam, ponieważ Drohobycz odwiedziłam już po złożeniu książki do druku (mówię o pierwszym wydaniu), natomiast w Melbourne mieszkam od ponad trzydziestu lat. Poleciałam natomiast do Niemiec. Do Planneg pod Monachium zaprosił mnie Tadeusz Chciuk, starszy o dwa lata brat Andrzeja, z którym wcześniej wymieniałam listy. Tadeusz zmęczony ciągłym odpisywaniem na moje szczegółowe pytania, napisał któregoś razu „Zapraszam do Celtowa”. Celtowo to dom Celta, a Celt – to literacki pseudonim Tadeusza powstały z inicjałów imion i nazwisk jego i jego żony. Innego pseudonimu – Michał Lasota – używał w Radiu Wolna Europa, w którym pracował przez wiele lat. W połowie lat dziewięćdziesiątych nie

bardzo było mnie stać na tak daleką podróż. Uznałam jednak, że muszę ją odbyć dla dobra książki. Dość szczegółowo drohobyckie wspólne dzieciństwo i młodość opisał mi Władysław Chciuk z San Francisco, kolejny z braci mojego bohatera. Odpowiadał na wszystkie pytania niekiedy tylko pytając ze zdziwieniem – *Po co Pani aż taka wiedza?*



Bogumiła Żongołłowicz (z prawej) i Barbara Soddell – wdowa po Andrzeju Chciuku, Brisbane 2022, fot. ze zbiorów B. Żongołłowicz

Jak pisze Pani w książce, pisarz miał trzy żony. Z pierwszą, Barbarą Kulwieć pobrał się we Francji i miał z nią dwójkę dzieci, Jacka i Hanię. Z rodziną wyemigrował do Australii w 1951 r. Druga żona, Wanda z domu Poniatowska, zmarła nagle w wieku trzydziestu sześciu lat. Trzecia, Barbara

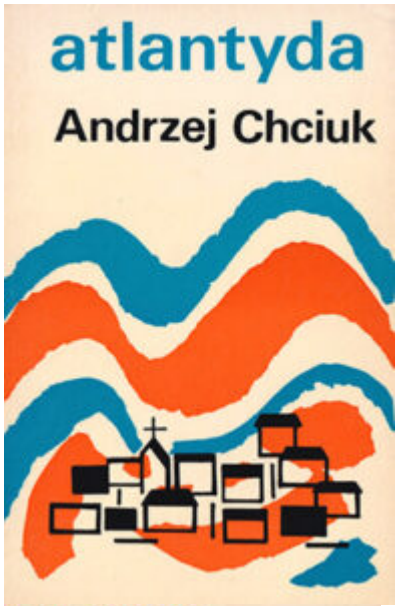
Wilczyńska, była ponad dwadzieścia lat młodsza i ma Pani z nią dobry kontakt, co było widać, a raczej słychać, podczas niedawnego hybrydowego spotkania zorganizowanego przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie z siedzibą w Londynie, w którym wzięła udział. Pisarz musiał mieć w sobie dużo uroku, że mimo nadwagi i trudnego charakteru, kobiety go kochały.

Na podstawie odsłuchu zachowanych nagrań mogę powiedzieć, że miał miękki głos, że mówił z wyraźnym kresowym akcentem. Na zdjęciach z młodości wyglądał przystojnie. Dałabym mu zaprosić się na randkę. W dorosłym życiu walczył nie tylko z nadmierną tuszą, ale i z chorobami. Zofia Kozarynowa nazywała go przesadnie w jednym ze swoich artykułów „otyłym, szpetnym i nieznośnym". Uczyniła to w dziesiątą rocznicę śmierci pisarza. „Szpetny" znaczy „odrażający, ohydny, szkaradny", a takim z całą pewnością nie był. Czy miał w sobie dużo uroku? Na pewno potrafił zjednać sobie otoczenie.

Andrzej Chciuk mówił bałakiem – gwarą lwowską. Jak dużo jest przeszłości w jego twórczości literackiej?

Bałak obecny jest w jego dwóch książkach-gawędach o „tamtej ziemi", w „Atlantydzie. Opowieści o Wielkim Księstwie Bałaku" i jej kontynuacji „Ziemi księżycowej. Drugiej opowieści o Księstwie Bałaku". Pierwsza książka otrzymała nagrodę

londyńskich „Wiadomości”, które uznały ją za „najwybitniejszą książkę pisarza polskiego pochodzenia wydaną na emigracji w 1969 roku”. Doczekała się aż pięciu wydań, nie licząc tłumaczenia na ukraiński. „Ziemia księżycowa” miała cztery wydania i też została przetłumaczona na ukraiński, zresztą dzięki mojemu pośrednictwu między Barbarą Soddell i tłumaczką Natalką Rymską.





Okładki książek Andrzeja Chciuka ze zbiorów B. Żongołłowicz

Bałak szedł z Chciukami przez życie. Jakże wymowny jest fragment listu Władysława Chciuka do młodziutkiej Barbary Soddell (Wilczyńskiej): *Musisz Basiu zrozumieć, że było nas czterech, właściwie każdy inny, każdy wybrał swoją drogę i swój cel. Wojna nas rozdzieliła, ale łączy rodzina i Drohobycz. Kto wie, co było ważniejsze. Po tylu latach nie jestem sam pewien. Chyba bałak.* Przytaczam ten list w obu wydaniach biografii Andrzeja. Władysław był lotnikiem podczas wojny, a czwarty brat to Antoni, o którym jeszcze nie mówiłam. Przybył do Australii przed Andrzejem. Pracował między innymi na poczcie. Jego nieszczęśliwe życie prywatne doprowadziło go (?) do samobójczej śmierci. Wypłynął na jezioro Eildon. Wypożyczona łódź „wróciła" pusta. Ciała nigdy nie odnaleziono. Do dziś jest uważany za *missing person*.

Jego nauczycielem języka polskiego w Drohobyczu był Bruno Schulz. Z Drohobycza pochodził też Kazimierz Wierzyński. Czy Andrzej Chciuk wspominał ich w swoich tekstach dziennikarskich?

W „Atlantydzie" jest rozdział zatytułowany „Bruno Schulz zaczarowany i zwykły". Z moich ustaleń wynika, że miała powstać książka, ale teczka z napisem „Bruno Schulz", już w chwili przejęcia jej przeze mnie od rodziny, była pusta. Moim

zdaniem Chciuk nie był w stanie w dalekiej Australii, pozbawionej prawdziwych polskich ośrodków badawczych, polskich bibliotek ze specjalnymi zbiorami, zgromadzić wystarczającego materiału na obszerną publikację. Sama pamięć o nauczycielu, a nawet wspomnienia innych uczniów Schulza, do których dotarł, nie były wystarczające. Wymienił kilka listów z Jerzym Ficowskim, specjalistą od twórczości Schulza, ale tego też było mało. Za mało na książkę.

Tytuł „Ziemia księżycowa" nasunął się Andrzejowi Chciukowi po przeczytaniu wiersza Kazimierza Wierzyńskiego „Księżyc". Pierwsza zwrotka tego utworu jest mottem do wspomnień pisarza. Dedykowany Wierzyńskiemu – niestety pośmiertnie – fragment „Atlantydy" zatytułowany „Góry, nasze góry" ukazał się w „Wiadomościach" (26/27/1969). Wierzyński „usynowił" Chciuka.

Przedstawionego przez Panią Andrzeja Chciuka odbiera się jak żywego człowieka, pełnego rozterek, borykającego się z problemami na emigracyjnej ziemi, imającego się różnych profesji, a przede wszystkim posiadającego pasję pisarską. Jak Pani się to udało?

To wypadkowa wysiłku, uporu i talentu. Poza tym sama jestem emigrantką i do pewnego stopnia doświadczyłam tego samego, co mój bohater, co pomogło mi w pisaniu.

Jak wspominała Pani wielokrotnie, o Andrzeju Chciuku mówiło się, że jest „najlepszym kucharzem wśród poetów". Z pisania trudno wyżyć, pisarz musi mieć często tzw. *day job*. Bohater Pani książki był szefem kuchni w różnych, niekiedy prestiżowych miejscach. Gotował też polskie dania – zupę piwną i bigos myśliwski. Podjął kolacją Artura Rubinsteina i jego żonę Nelli, podczas tournée pianisty po Australii w 1964 r. Zacytuję przepis na „zakąskę a la Rubinstein" (s. 204): *Awokado „miało dziurkę po pestce wypełnioną sosem vinaigrette z dużą ilością krewetek i trochę śledzika z cebulką drobno posiekanego, i ząbeczek czosnku, i jajeczko, na twardo z majonezikiem (...) i kilka kropelek koniaku Otard, i korniszonek (...), i trembulkę".* Czy sądzi Pani, że Andrzej Chciuk w gotowaniu znajdował upust dla swojej kreatywności?

Wiem, że nosił się z zamiarem wydania książki kucharskiej. We Francji poznał „najlepszego pisarza kulinarnego", jakim był Édouard de Pomiane czyli Edward Pożerski. Znał jego książeczkę poświęconą polskiej kuchni "La Cuisine polonaise: vue des bords de la Seine". Pomiane-Pożerski lubował się w wyrafinowanych daniach. Chciuk również. W menu restaracji „The Polonaise" w Melbourne, w której „szefował" znajdujemy takie potrawy jak STEAK a' La Waltzing Matilda (nieoficjalny hymn Australii) i CARP a' La Kosciuszko (nawiązanie do nazwy najwyższej góry Australii). Dodam, że w lokalu, który prowadził dziennikarz Jerzy

Grot-Kwaśniewski, kierownikiem artystycznym był Gwidon Borucki – pierwszy wykonawca pieśni „Czerwone maki na Monte Cassino”. Stanowili doborową trójkę.





Okładka drugiego wydania biografii Andrzeja Chciuka, projekt Zuzanna Lipińska

Bogumiła Żongołłowicz, National Archives of Australia, Canberra

2022, fot. ze zbiorów B. Żongołłowicz

Poszukując informacji na temat pisarza, natrafia się głównie na Pani opracowania: wywiady, artykuły, materiały z konferencji. Jest też Pani autorką jeszcze dwóch książek o Andrzeju Chciuku – *Kabaret „Wesoła Kookaburra”* (2004) i *O pół globu od domu: obraz Polonii australijskiej w twórczości Andrzeja Chciuka* (2007). Wyciągnęła go więc Pani z niepamięci. Kim jeszcze się Pani zajmowała w swojej pracy dokumentalistki?

Lista osób jest dość długa. Wspomnę o kilku postaciach. Zatem byli to: Andrzej Gawroński, Roman Granowski, ks. Konrad Trzeciak, płk Jerzy Gruszka, Lidia Duda-Groblicka, Krystyna Jackiewicz, Ludmiła Błotnicka, Roman i Krystyna Pawłowscy, Natalia i Mieczysław Kułakowscy, Jan Dunin-Karwicki, Jerzy Grot-Kwaśniewski i wielu innych.

Powracając do książki, oprawą graficzną zajęła się uznana graficzka Zuzanna Lipińska, córka Eryka Lipińskiego, karykaturzysty, dziennikarza, grafika, założyciela ilustrowanego czasopisma satyrycznego „Szpilki” oraz Muzeum Karykatury w Warszawie. Jak wyglądała ta współpraca?

Lipiński zilustrował cykl „Pierwsi Polacy we Francji” z tekstem

Chciuka w tygodniku „Polska i Świat” w 1950 roku. Przebywał wtedy na stypendium twórczym w Paryżu, gdzie pisarz mieszkał po wojnie do czasu wyjazdu do Australii. Biblioteka Narodowa w Warszawie zgodziła się wykonać skany z tego pisma po uzyskaniu pisemnej zgody od spadkobierców. Tak zaczęła się nasza znajomość na odległość, która doprowadziła do wydania biografii najbardziej znanego pisarza polskiego w Australii w pięknej szacie graficznej, za co jestem Zuzannie dozgonnie wdzięczna. Zuzanna zaprojektowała również moją stronę internetową

Książkę czyta się jednym tchem, jak beletrystykę. To duża zaleta pozycji biograficznej. Nie zatracając warsztatu naukowego, operuje Pani językiem literackim i wciąga czytelnika w koleje losu australijskiego emigranta z talentem pisarskim. Czy ma Pani już odzew czytelników?

W myśl przysłowia, że skromność nie popłaca, odpowiem, że tylko pozytywny. Ktoś nawet napisał, że szkoda, że to wydanie drugie, bo nie można jej było zgłosić do Górnośląskiej Nagrody Literackiej Juliusz.

Może następna książka będzie miała więcej szczęścia, czego Pani z całego serca życzę.

*

Zobacz też:

> Wkład Polaków w kulturę artystyczną Australii

Liliana Baczewska-Lampert. Wspomnienie o mojej mamie.

Paul Lampert *(Toronto)*



Lilian Lampert, Yellow Martini, portrait, fot. arch. artystki



Lilian Lampert, Fleeting Motion, portrait, fot. arch. artystki

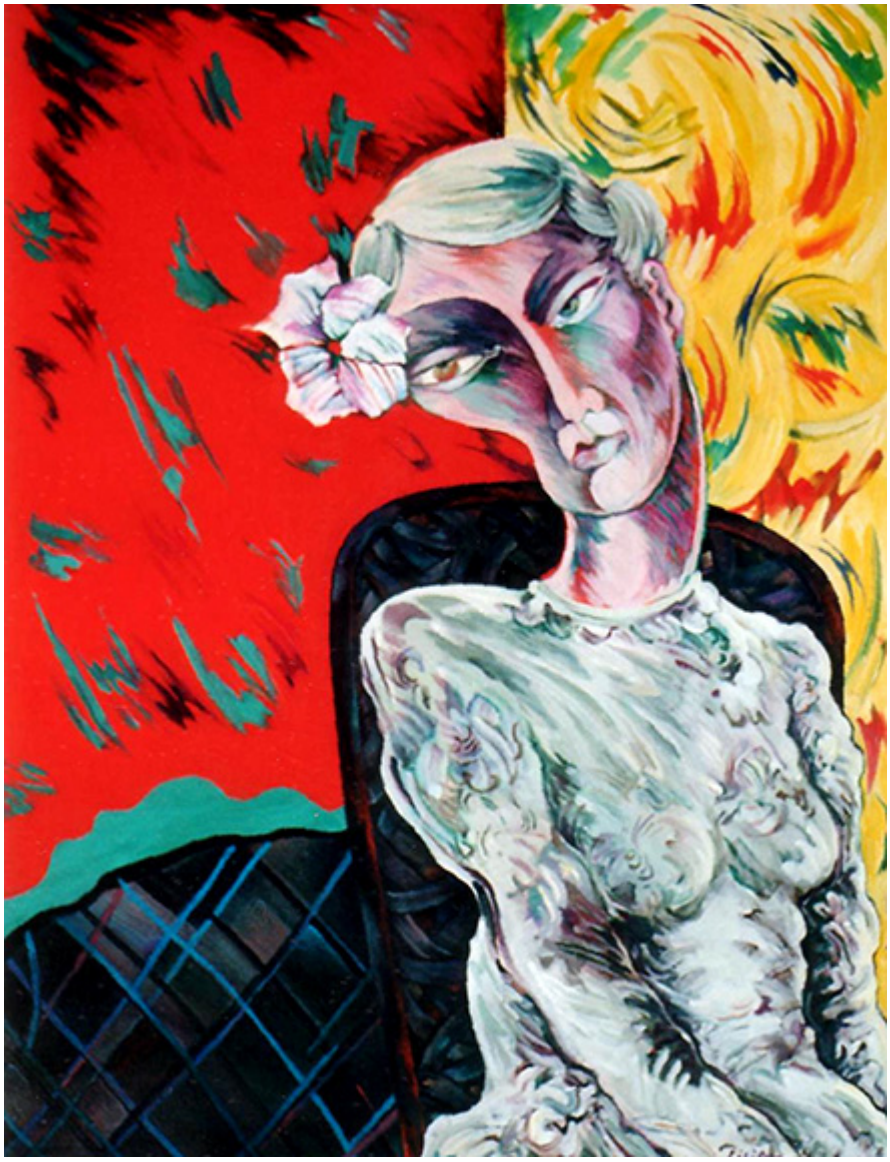
*

Wspomnienia o mojej mamie zawsze przeplatają się ze sztuką. Mam w pamięci wyraźny obraz jej sylwetki, pochylonej nad stołem, głęboko skupionej na pierwszym szkicu lub ostatecznym projekcie, kiedy ja bawiłem się na podłodze obok niej. Godzinami zadawałam jej pytania, nie tylko o to, co robiła, a ona zawsze cierpliwie mi wszystko wyjaśniała. To było w Warszawie w latach

60-tych. Często zabierała mnie ze sobą, na spotkania z dyrektorami artystycznymi w sprawie zleceń. Widzieliśmy też zapowiedzi filmów, do których projektowała plakaty. Dla pięciolatka były to zabawne i zawsze niezwykłe przeżycia. To, z czego Nie zdawałem sobie wówczas sprawy z tego, jak trudny to był wtedy okres dla mojej mamy. Jako samotna matka w komunistycznej Polsce nie tylko musiała pogodzić wychowywanie dziecka z karierą *freelancera* jako grafik, ale także musiała zmierzyć się z systemowym seksizmem, a także z antysemityzmem w swojej ojczyźnie.

W tych trudnych warunkach moja mama przebiła się przez „szklany sufit" polskiej sceny artystycznej, zdominowanej wtedy przez mężczyzn i dała się poznać jako jedna z najważniejszych graficzek swoich czasów. Jednak pragnęła dla mnie lepszego życia. W 1968 roku oficjalna polityka rządu polskiego wobec obywateli żydowskiego pochodzenia stała się czymś w rodzaju „czystki". Moja mama nagle stwierdziła, że nie jest w stanie zdobyć żadnej pracy. Wszystkie drzwi były w niewytłumaczalny sposób zamknięte. Dostaliśmy możliwość opuszczenia kraju pod warunkiem, że zrzekniemy się obywatelstwa (i całego naszego mienia) i nigdy nie wrócimy do kraju. W sierpniu 1968 r. wsiedliśmy z mamą z dwiema walizkami do pociągu Chopin Express z Warszawy do Wiednia.

*



Lilian Lampert, Blue Mood, portrait, fot. arch. artystki



Lilian Lampert, Fancy Jacket, portrait, fot. arch. artystki

*

Po kilku miesiącach bycia bezpaństwowcami, wylądowaliśmy w Kanadzie. Mama mówiła po angielsku i po francusku, więc wkrótce znalazła pracę jako grafik i niewiele później mieliśmy ładne mieszkanie w Toronto. Moja mama pracowała dla Burton/Kramer, MacLeland & Stewart, ale również dla CBC, zanim zajęła się nauczaniem. Przez wiele lat uczyła

projektowania graficznego i ilustracji w Sheridan Collage oraz była mentorem dla niezliczonej liczby artystów. Po przejściu na emeryturę wróciła do malarstwa. Była niezwykle płodną artystką, malowała do 90-tego roku życia. Prace z ostatniego okresu są zróżnicowane i trudne do skategoryzowania. To szeroka gama możliwości: od figuratywnych do abstrakcyjnych; od mitycznych do poetyckich. Niektóre prace są mroczne, odzwierciedlają jej dzieciństwo przed wojną i lata wojenne, a inne są fantazyjne lub ironiczne. Była bystrym obserwatorem ludzkiej natury – ciemności i światła, które żyją w nas wszystkich.

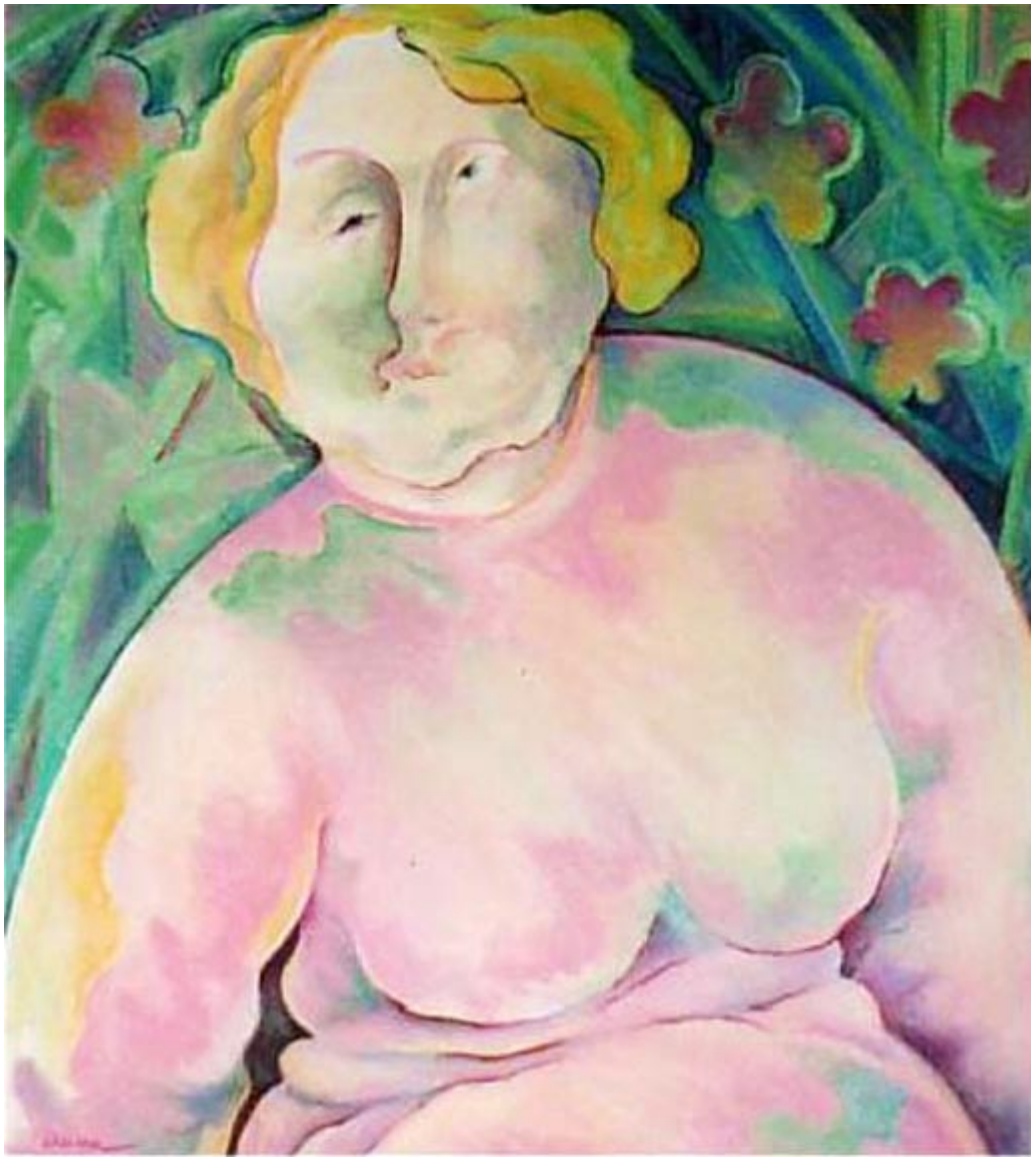
Moja mama pozostawiła po sobie bogatą i barwną spuściznę: piękną rodzinę, bogactwo dobrych przyjaciół, setki wyjątkowo wyszkolonych uczniów i bogaty dorobek artystyczny. Bez wątpienia mama wpłynęła na mój rozwój jako twórcy teatralnego. Jestem dozgonnie wdzięczny za jej bystre oko i wyrafinowany smak. Ale przede wszystkim jestem wdzięczny, że miałem ją jako moją „mamę". Kocham ją głęboko i myślę o niej każdego dnia.

Tłumaczenie: Kika Misztela

*



Lilian Lampert, Mexican Woman, portrait, fot. arch. artystki



Lilian Lampert,Waiting in Pink, portrait, fot. arch. artystki

*

Paul Lampert (on/on) MSZ NTSC, emerytowany profesor i starszy wykładowca, Wydział Teatru School of the Arts, Media, Performance & Design, Uniwersytet York, Toronto, Kanada

https://theatre.ampd.yorku.ca/ | http://www.theatrepanik.ca/ | https://www.paullampertphotography.com/

*

Zobacz też:

> Przywracanie pamięci. Liliana Baczewska-Lampert (1931-2021)